

**W NUMERZE:** Kolejna relacja z kampanii żniwnej ■ Kto i dlaczego chce zostać handlowcem (zagranicznym)? ■ Studenci na stacjach benzynowych ■ Co daje służba w jednostkach OTK? ■ Gorzki chleb – czyli rzecz o tureckich gasterbeiterach w RFN ■ Jakie filmy powstają w łódzkiej WFF? ■ 75-lecie L. Gomolickiego ■ Prawo do eutanazji? ■ Dalszy ciąg rewelacyjnych pamiętników Walentina Katajewa ■ Wiersze młodych sieradzan

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź



NR 35 (1081) ROK XXI

27 SIERPNI 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: W. Parys

TOMASZ SOLDENHOFF

## WIELKA GRA (II)

W poniedziałek 14 sierpnia na terenie niemal całej środkowej Polski żniwa weszły w decydującą fazę. Synoptycy zapowiedzieli trzy dni „murowanej” pogody, ostrzegając jednocześnie przed możliwością powrotu deszczów. Gdyby jednak Jobra pogoda utrzymała się, już w drugiej połowie tygodnia nastąpiłby szczyt tegorocznych żniw.

Choć te ostrzeżenia zmobilizowały nawet najbardziej opieszłych, prace na polach szły nadal nierównomiernie, i to zarówno w skali całego kraju, jak i poszczególnych województw, a nawet gmin. Czestokroć i na sąsiadujących ze sobą terenach zaawansowanie robót było rozmaite...

W województwie skierniewickim – w którym zresztą tempo prac było dobre, a do 15 sierpnia skoszone prawie 75 procent zbóż – niepokój mógł budzić jeszcze co innego. W gminach położonych nad Bzurą i jej dopływami dobrze zapamiętano zeszłoroczne zniszczenia i straty w płonach na skutek wylewów rzek i gradobi-

cia... W tym roku nie było większych strat, ale i w Skierniewickim żniwa musiały być – siłą rzeczy – kradzione... pogodzie. Każdą chwilę wykorzystywano do koszenia i zwózki zboża, na podorywki, wysiew wapna i siew poplonów, a spiętrzenie tych wszystkich prac potęgowało wrażenie nierównomiernego przebiegu żniw... Jak jednak nieraz zjadane są powierzchniowe spojrzenia i pośpieszne oceny świadczy przykład Rogowa. Na trasie między Brzezinami a Rogowem jeszcze 15 sierpnia uderzały rozmiary niekniętego kosą zboża. Pytanie: kto i na co czeka? – nasuwało się automatycznie wszystkim, którzy nawet pobieżnie obserwowali z okien samochodów pola przyległe do szosy...

Rogów. Połowa drogi z Łodzi do Rawy Mazowieckiej, 6 km od Brzezin. Główny specjalista do spraw produkcji i tutejszego zespołowego PGR, a więc przedstawiciel gospodarza większości mijanych po drodze pól, inż. Eugeniusz Kowalski nie jest za-

skoczony, gdy powtarzam mu to pytanie. – Dlaczego zboże między Brzezinami a Rogowem stoi jeszcze na pniu? – mówi: – Muszę wyjaśnić: my w żniwach jesteśmy bardzo dobrze zaawansowani. A to co widać przy szosie, co w oczy kłuje, to 30 hektarów zboża na ziarno kwalifikowane. Musi jeszcze stać, nie możemy ściąć go pochopnie, zanim dojrzeje. Nie możemy zmarnować tego ziarna. To chyba jasne...

Tymczasem na pozostałych polach PGR w Rogowie, a trzeba tu wyjaśnić, że jest to drugi co do wielkości użytkowanej powierzchni zespół (1.860 ha gruntów) PGR w województwie skierniewickim, 15 sierpnia żniwa przekroczyły półmetek. Łączny areał zbóż PGR w Rogowie sięga 580 ha, w tym jęczmienia jest 355 ha (60 ha to właśnie kwalifikaty), żyta 96 ha, pszenicy 86 ha, owsa 43 ha. Na dzień 15 sierpnia: zebrano ogó-

Dalszy ciąg na str. 7

TOMASZ DOMAŃSKI

## JAK ZOSTAĆ HANDLOWCEM (ZAGRANICZNYM)?

Sprawa wyboru kierunku studiów przez absolwentów szkół średnich intryguje nas nie od dzisiaj. Przy okazji kolejnej letniej rundy egzaminów wstępnych warto zastanowić się raz jeszcze nad tym problemem. Przedmiotem mojego zainteresowania byli kandydaci zdający na kierunek „handel zagraniczny” na Uniwersytecie Łódzkim.

1. Lipcowe przedpołudnie. Kilkunastuosobowa grupa oczekuje swej kolejki na egzamin ustny z geografii i historii. Przyszli studenci handlu zagranicznego i może nasi nowi, dynamiczni businessmeni, zdają się być bardzo opanowani i skupieni. To już ostatnia tura egzaminów ustnych.

Na początku było ich 234; z tego 7 osób przyjęto bez egzaminów – wiadomo prymusi! – 44 odpadło po pisemnych, a reszta ubiega się o prawie 80 wolnych miejsc.

Czym można wyjaśnić ów pęd na studia handlu zagranicznego? – Ekonomia w ogóle nie jest wydziałem najpopularniejszym i najmłodszym. Jej ranga i znaczenie społeczne nie znajduje bezpośredniego odzwierciedlenia w strukturze zgłoszeń kandydatów na studia. Zbyt dużo jeszcze słabych i przeciętnych wybiera właśnie ten kierunek studiów.

Dalszy ciąg na str. 6

MAREK MILLER

## STACJA BENZYNOWA CZYLI WYKŁAD Z ŻYCIA

Studenci na stacjach benzynowych! Przypniecie państwo, że zaczyna się nieźle. Ale wszystko się zgadza. W ubiegłym roku każdy z nich chcąc zarobić w czasie wakacji mógł otrzymać następujące skierowanie:

„Przedsiębiorstwo obrotu produktami naftowymi CPN. Na podstawie porozumienia zawartego z SZSP upoważnia się Ob. . . . do przebywania i wykonywania usług w zakresie przecierania szyb, tablic rejestracyjnych, reflektorów samochodowych oraz sprawdzania i uzupełniania ciśnienia w ogumieniu na terenie stacji benzynowej numer . . . . w miesiacu . . . . w terminie od . . . . do . . . .”

Będzie to zatem opowieść o tych aspektach motoryzacji, które stanowią zwykle pomijany margines problemu. A samochód to nie tylko technika i ekonomia, ale także psychologia, socjologia i mitologia. Ta ostatnia szczególnie rozwinięta w naszym kraju. Patrząc z punktu widzenia tych nauk stacja benzynowa staje się szczególnie dogodnym miejscem obserwacji, a student (wiadomo student!) daje gwarancję świeżości spojrzenia i neutralnego (nie jest właścicielem samochodu, nie jest agentem) obiektywizmu.

A zatem posłuchajmy.

TOMEK: – Pracowałem w takiej koczulce: na białym tle wyhaftowany człowiek z broda, w CPN-owskiej czapce, w spodniach na szelkach, w jednej ręce trzymał gabkę, a drugą, monstrualnych rozmiarów miał zwróconą do klienta. W dniu, w którym akurat ja pralem, miałem dużo mniejszy dochód.

ANKA: – Najtrudniejsze były trzy pierwsze samochody. Jak mnie przyjmą? Najbardziej bałam się tego, że podejść do samochodu, a klient powie mi, że nie chce. I ja z ręką tak zawieszoną nad szybą zostanę. Bałam się śmiešności. Jeszcze kiedy kierowca był sam, to odmowę przeżywałam mniej, ale kiedy z tyłu widziałam sznur samochodów, to byłam tak sparalizowana, że do trzech następnych samochodów nie podchodziłam. Dopiero jak odjechali ci, którzy mnie widzieli, to nabierałam odwagi i próbowałam znowu. Ale to mnie kosztowało

choleralnie dużo. Nawet wołałam, żeby facet pozwolił mi umyć szybę nie płacąc za to, niż żeby odmówił.

TOMEK: – Na początku jak zaczynałem, to kierowca, albo zdążył mi pokazać „nie” jak ja już szelkowi, albo jak się zagapił, to ocknął się w momencie, kiedy podnosiłem wycieraczkę. Szukała się na tym, aby zejść od tyłu i to nie od strony kierowcy tylko od strony pasażera – od razu siknąć wodą tak, żeby zachlapać przynajmniej pół szyby. Dopiero wtedy podnosiło się wycieraczkę.

Poza tym na wysokość napiwku wpływało prowadzenie rozmowy z kierowcą. Do ulubionych tematów, które ja poruszałem należał samochód. Mimo że ja się na tym nie znam. Na przykład, jeżeli facet podjeżdżał „Wolgę”, to ja mu mówiłem, że jest to lepsze niż „fiat”, że to jest maszyna! Jak przyjeżdżał „fiatem” to mówiłem, że tak narzekają na te „fiaty”, narzekają a to jest zupełnie dobry samochód. W momencie, kiedy ktoś przyjeżdżał samochodem, o którym nie dało się powiedzieć nic dobrego, np. „simką” z 1950 r., to mówiłem po prostu, że jest to wspaniały samochód. To nieszkodzi, że tam był błotnik taki, że można było rękę włożyć i poklepać

Dalszy ciąg na str. 6

# NA PLANACH FILMOWYCH W ŁÓDZKIEJ WFF

Co 10 dni Łódzka Wytwórnia Filmów Fabularnych przekazuje gotowy nowy film. Tak! Wniosek można by wysunąć biorąc pod uwagę, że w tej największej w kraju „fabryce snów” w tym roku wyprodukują się 37 pełnometrażowych filmów. W rzeczywistości wygląda to nieco inaczej, ponieważ filmów nie realizuje się sposobem taśmowym i tempo nie narzuca praca maszyn. Zresztą i liczba 37 nie jest zupełnie ścisła, bowiem naprawdę powstanie w br. 15 fabularnych filmów — przeznaczonych dla kin i ponad 50 odcinków filmów telewizyjnych, które przelecia się na 17 pełnometrażowych pozycji kinowych. W każdym razie jest to produkcja

imponująca, zwłaszcza jeśli się pamięta, że w latach sześćdziesiątych w Łódzkiej WFF kręcono do 12—13 filmów rocznie. Przy takim ogromie zadań zaskakuje więc widok zupełnie pustych hal zdjęciowych. Nie to nie wina upałów, ani sezonu upolowego. — W filmie nie ma „odróbków” — zapewnia kierownik produkcji Łódzkiej Wytwórni Halina Nowicka — po prostu, tak jak na całym świecie również i u nas realizatorzy nakreślają zdjęcia przede wszystkim w plenerach. Przenoszą się z miejsca na miejsce, są ogromnie ruchliwi. Mam tu właśnie przed sobą harmonogram realizacji filmu „Sekret Enigmy”: 97 dni zdjęciowych i 118 różnych

obiektów, gdzie będą realizowane zdjęcia. — Gdzie teraz przebywają ekipy? — Przede wszystkim „łapia” zdjęcia tzw. uciekające, jak to się u nas mówi — że żniw. Tak się złożyło, że aż w czterech realizowanych obecnie filmach muszą być ujęcia na tle żniwnego pejzażu. Ze szczególną niecierpliwością oczekiwali na ten okres realizatorzy filmu „Białe żniwa” według opowiadania Lwa Tołstoja, którzy inne zdjęcia ukończyli już w lipcu. Żniwa nakręcały też ekipy wspomnianego już „Sekretu Enigmy”, „Płocówki” i „Zamachu stanu”. — Wiadomo, że zdjęcia do filmów realizowanych przez

Łódzka wytwórnia wykonywane są w różnych miastach i najprzeróżniejszych zakątkach kraju, a nawet poza jego granicami. Ciekawe, gdzie w samej Łodzi, filmowcy kręca najchętniej? — Oczywiście, w pofabrykanckich pałacach. Cała zabrzęta secesja Łódzka jest niezmiernie fotogeniczna. Szczególnie często filmowcy goszczą w pałacu Poznańskiego, gdzie przez wiele lat miał swą siedzibę Urząd Wojewódzki, w pałacyku załamanym obecnie przez organizację młodzieżową, w klubie nauczycielski, szkole muzycznej, a nawet... w prokuraturze jako że wszystkie te instytucje zajmują ciekawe architektonicznie, zabytkowe budynki. Wiele naturalnych wnetrz Łodzi czasami „podretuszowanych” adaptowanych „grało” w „Dziejach grzechu”, „Miejscu na ziemi”, „Ziemie obiecanej” i innych filmach. Tymczasem w wielkiej hali zdjęciowej zjawia się w połowie sierpnia zagraniczni klienci — z RFN — realizujący ekranizację znanej powieści Tomasa Manna „Buddenbrookowie”. Dla nich to właśnie wy-

budowano tu dekoracje rezerwy i jednego z mieszkań. — To już nasza „eksportowa” działalność usługowa — mówi H. Nowicka. — Ekipa „Buddenbrooków” już wiosną nakręciła pewne sekwencje nad morzem, a do zakończenia zdjęć w halach przeniesie się jeszcze do Warszawy i Gdańska. W oparciu o podobną umowę usługową u trwałane będą zdjęcia w specjalnie przygotowywanych dekoracjach w naszej wytwórni do RFN-owskiego filmu „Biażany bebenek”, powstającego na podstawie książki Günthera Grassa. Reżyseruje Volker Schlöndorff. — Jakże filmy ostatnio realizowane były w Łódzkiej WFF i co wchodzi do produkcji? — Przede wszystkim trzeba wymienić „Rodziny Polanieckich” w reżyserii Jana Rybkowskiego. To jest olbrzymie przedsięwzięcie: cykl składający się z 7 barwnych, półtoragodzinnych filmów. Zakończono już „Rodziny Leśniewskich” w reżyserii Janusza Leskiego, film obyczajowy — o dzieciach i ich dziełach. Gotowy w zasadzie jest serial telewizyjny Andrzej

Konica pt. „Życie na gorąco”, który będziemy oglądać przez 9 wieczorów. W zdjęciach natomiast jest m.in. współczesny film Agnieszki Holland „Aktorzy prowincjonalni”. Wchodzi do realizacji „Zamach stanu” Ryszarda Filipskiego i „Polonia Restituta” Bohdana Poreby. W produkcji jest „Aria dla atlety” w reżyserii Filipa Bajona i „Sto koni” — Zbigniewa Kuźmińskiego. Zaawansowane są prace przy dużym filmie historyczno-batalistycznym Jerzego Hoffmana „Do krzywej ostatniej”. W przygotowaniu — nowy film fabularny Krzysztofa Kieślowskiego — „Amator”. Pracy nie brakuje i ponad tysięczna załoga wytwórni dwój się i trój, by jak najlepiej sprostać coraz trudniejszym zadaniom.

Rozmawiała:  
IRENA BECK

## KRONIKA KULTURALNA

W dniach 19—20 sierpnia 1978 roku w stolicach czterech województw: miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i warszawskiego odbywa się tradycyjne Święto „Trybuny Ludu” — organu prasowego KC PZPR, które tym razem przypada niemal w przededniu grudniowej rocznicy trzydziestolecia tego pisma. Z tej okazji cała strona poświęca niedawno „Trybuna Ludu” (w nr 187 z dnia 9 sierpnia br.) na ukazanie najważniejszych problemów rozwoju Łodzi: osiągnięć i trudności. Pisze o nich w artykule zatytułowanym „Łódzkie siedmiolate” i sekretarz KL PZPR Bolesław Koper ski.

Osobne miejsce poświęca „Trybuna Ludu” sprawom kultury. W artykule pt. „Awans miasta” Jerzy Bajdor charakteryzuje główne zjawiska odbywającego się w Łodzi „od drugiej połowy lat pięćdziesiątych trudnego, skomplikowanego procesu rekonstrukcji i tworzenia w naturalny sposób związanego z miastem ośrodka kulturalnego”. Autor nie zapomina przy tym o tradycjach kulturalnych Łodzi okresu przedwojennego i pierwszych lat po II wojnie światowej, podkreśla jednak wagę momentu w którym łódzcy twórcy i działacze — przezwycięższy chwilowe kompleksy i myty związane ze stonijnym zatracaniem przez Łódź miana „stolicy kulturalnej Polski” na rzecz Warszawy — „zdali sobie sprawę z tego, że tylko budowanie własnego potencjału i aktywizacja nowych sił artystycznych to klucz do rzeczywistego awansu środowiska”. Łódź jest obecnie ośrodkiem wyemancypowanym kulturalnie — stwierdza w swym artykule Jerzy Bajdor — nie cierpiącym na kompleks niedowartościowania. Modernizacja się coraz bardziej nowoczesny przemysł, 7 wyższych uczelni (w tym 3 artystyczne), niezacznie się środowisko twórcze 3 dzienniki, tygodnik wydawnictwo, radio i telewizja, przez aktywne audytorium kulturalne oto — atut dziesięć Łodzi.

(Reportaż ze świata „Trybuny Ludu” w Łodzi zamieścimy w następnym numerze).

W Żyrardowie (w woj. skier-niewickim) — mieście o największych w Polsce tradycjach przemysłu lniarskiego — trwa przygotowania do utworzenia muzeum obrazującego dzieje powstania i rozwoju tego przemysłu. Muzeum Lniarstwa — założone w remontowanym właśnie budynku z XIX wieku — prezentować będzie stare wroby lniane serweły, obrusy i ubrania, a także obrazy szwehy, itp. prace pokazujące rozwój miasta i zakładów oraz dawne maszyny. Otwarcie muzeum — w połowie przyszłego roku.

Do połowy sierpnia br. czynna była w Muzeum Ziemi Wielkopolskiej ekspozycja etnograficzna pn. „Współczesna cerami-

ka ludowa z obszaru Polski środkowej”, prezentująca około 350 wyrobów garncarskich pochodzących z 31 warsztatów zarówno o charakterze użytkowym jak i dekoracyjnym oraz pamiątkarskim.

Z okazji podsumowania pracy Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego w pierwszym półroczu 1978 roku wręczono nagrody i wyróżnienia zasłużonym dziennikarzom. List gratulacyjny od I sekretarza KL PZPR Bolesława Koperskiego oraz dyplom ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” otrzymał w uznaniu zasług w działalności społeczno-politycznej i w ciągu 30 lat pracy zawodowej prezes OLS DP, redaktor naczelny „Kawuzeli” Wojciech Drygas. Natomiast zastępca redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego” Edmund Tulko udekorowany został złotą odznaką „Za zasługi dla RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

Ponad dwadzieścia łódzkich artystów wszystkich pokoleń wzięło udział w I Międzynarodowym Triennale Rysunku, jakie odbywa się we wrocławskim Muzeum Architektury. Ogółem wystawia 385 artystów a prace pokazanych na wystawie jest pięć razy więcej!

Wystawę rysunków satyrycznych autorów związanych z łódzkim dwutygodnikiem „Kawuzela” otwarto w salach Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej w Bratisławie. Prace wystawiało 36 rysowników.

Otwarty Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Hawana-78” zorganizował ZL ZSMP oraz Klub Młodych Pisarzy „Wia-dukta”. Celem konkursu jest — jak głosi komunikat — „uzyskanie poetyckiego świadectwa problematyki XI Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Hawanie „O antyimperialistycznej solidarności, pokoi i przyjaźni”.

Z łódzkich salonów wystawowych: w Muzeum Sztuki otwarto wystawę 104 prac Władysława Siewińskiego (1854—1918) ucznia Paula Gauguina, autora znanych studiów morza i portretów prostych ludzi, malarza Bretanii i Podhala. Natomiast w Galerii Sztuki BWA prezentowano wystawę pn. „Najlepsza grafika roku” (plon konkursów kwartalnych organizowanych w Łodzi), a także ekspozycje grafiki i rysunków (m.in. ekslibrisy, ilustracji i ozdobińskich książkowych) Zbigniewa Dolatowskiego.

Wystawę strojów ludowych Polski środkowej: sieradzkiej, łowickiej, brzezińskiej i opo-

zarzyskich otwarto w Muzeum Regionalnym w Brzezinach. Obok kompletów strojów prezentuje się na wystawie ich części m.in. bluzki czy haftowane kółnierzyki i mankiety.

Kilka szczegółów na temat pomnika Władysława Reymonta, który stanie niedługo na placu jego imienia, ujawnił autor projektu Wacław Wołosiewicz. Pomnik będzie odwany z brązu i ustawiony na marmurowym cokole z wrytym na nim autogramem autora „Ziem obiecanej”. Łódzki Reymont trzymać będzie w ręku wiązanek kłosów pszenicznych. „Skoliarzwo to mi się z Norwidem który w „Portretnie Szopena” mówi o doskonałości twórczej. Nie ma jej w muzyce, rzeźbie, dramacie. Jest w kłosie, symbolu wszelkiej doskonałości, do roku najwyższego rzędu. Uważam, że symbol ten odzwierciedla poszukiwania twórcze Reymonta, jego idee” — Wyznał Wacław Wołosiewicz.

W dniach od 14 sierpnia do 5 września br. trwa III Sieradzki Plener Plastyczny pod hasłem „Portret woj. sieradzkiego — portret miasta Wielunia i okolic”. W plenerze — podczas którego zorganizowana będą liczne imprezy sportowe i turystyczne mające być celem źródłem inspiracji — uczestniczyć będzie 25 łódzkich plastyków i 3 gości z Bułgarii. W czasie trwania pleneru odbędzie się również (w dniach od 25 do 27 sierpnia) III Festyn Sztuki Ludowej i Folkloru woj. sieradzkiego jedna z wielu atrakcji tegorocznego święta „Trybuny Ludu”.

Cmentarzisko sprzed około tysiąca lat odkryte w Mroczkowie Słonym w gminie Opoczno. Zachowały się piękne ozdoby z brązu. Dalsze zaleźka na tym terenie wzbogaca zapewne wiedzę o osadnictwie, życiu i kulturze mieszkających w tym rejonie przed wiekami Słowian.

Pełen sukcesów okazał się udział łódzkiego Harcerskiego Zespołu Muzyki i Tańca Narodów Słowiańskich „BALAJKI” na V Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej „Kielce — 78”. Zespół kierowany przez A. Lazariego, zdobył szereg nagród a m.in. „Złota Jodła” w ogólnej klasyfikacji zespołów. „Srebrna Jodła” za piękne zaprezentowanie się w korowodzie i nagrodę specjalną wojewody kieleckiego.

Dom Filmu i Plastyki — nowa, ważna placówka kulturalna, no-osiawata rozpocznie działalność z początkiem września br. w atrakcyjnie urządzonej

Staraniem Łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Historyków Sztuki oraz Muzeum Historii Miasta ukazał się niewielki rozmiarów album pt. „Piotrkowska na wprost”. Teksty pisał J. Wilmański i B. Sikorski. Album ukazał się w nakładzie 100 egz. i jest to ciekawy zbiór zdjęć i grafik. A. Grupa Zastanawia mały (800 egz.) nakład tej publikacji, która powinna znaleźć się w każdym kiosku „Ruchu” nie mówiąc już o księgarniach, przedsiębiorstwach turystycznych, sklepach z łódzkimi pamiątkami i bibliotekach.

W trakcie opracowywania znajduje się „Sieradzki Almanach Literacki” do którego obok utworów poetów i prozatorów urodzonych na Ziemi Sieradzkiej, wejdą również utwory, w których przejawiają się motywy związane z tym regionem, m.in. najnowszy poemat Mariana Piechała pt. „Ziemia Trójrzeczka”, poświęcony matce poety urodzonej w Ruscu w woj. sieradzkim.

Z blisko miesięcznego tournée po Francji powrócił stulejczy od ponad 20 lat w Opoczno Zespół Pieśni i Tańca „Trambianka”. Zespół brał m.in. udział w międzynarodowym festiwalu folklorystycznym w Nicei i spotkał się z ciepłym przyjęciem.

W cyklu „Gwiazdy światowej rozrywki” organizowanym przez łódzki „Estradę” koncertował w Łodzi złoty zespół rockowy — „Slade”. Grupa ta od ponad 10 lat umieszcza swoje utwory na pierwszych miejscach list przebojów, wydała kilkadziesiąt płyt w wielomilionowych nakładach i nakręciła autobiograficzny film „Flame”. 15 tysięcy kg aparatury nagłaśniającej przywiezione przez kilkunastoosobowy personel techniczny na łódzki koncert dało w sumie niebagatelną moc 28 tysięcy wat. Łodzianie i to przetrzymali.

Pełen sukcesów okazał się udział łódzkiego Harcerskiego Zespołu Muzyki i Tańca Narodów Słowiańskich „BALAJKI” na V Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej „Kielce — 78”. Zespół kierowany przez A. Lazariego, zdobył szereg nagród a m.in. „Złota Jodła” w ogólnej klasyfikacji zespołów. „Srebrna Jodła” za piękne zaprezentowanie się w korowodzie i nagrodę specjalną wojewody kieleckiego.

Dom Filmu i Plastyki — nowa, ważna placówka kulturalna, no-osiawata rozpocznie działalność z początkiem września br. w atrakcyjnie urządzonej

Staraniem RSM „Lokator” i Łódzkiego Domu Kultury nowym budynkiem przy ul. Łagiewnickiej. Pracownie plastyczne filmowe i fotograficzne, centrum eksperymentów i filmowców-amatorów, projekcje filmów, studium oświaty scenariuszy, klub młodych krytyków — to niektóre formy działania Domu Filmu i Plastyki

XVII wieczna polichromie przedstawiająca portrety ludzi, odkryto w kościele w Bakowej Górze w woj. piotrkowskim, zabytku pochodzącym z przełomu XVI i XVII wieku, znanym dotąd z interesujących sztukaterii

V Sejmik Łęczyckich Twórców Ludowych odbył się w sierpniu w łęczyckim muzeum. Z tej okazji ogłoszono także wyniki konkursu „Współczesna łęczycka sztuka ludowa”.

W Centralnym Muzeum Włókiennictwa czynna jest wystawa czeskiej dekoracyjnej tkanin artystycznych. Ekspozycja obejmująca przeszło 40 tkanin wykonanych techniką „art-o-fis” opatentowana w CSRS w latach sześćdziesiątych w wyniku prac brneńskiego Naukowego Instytutu Włny.

Przybywa przekładów książek polskich autorów na język słowacki. Ostatnio w wydawnictwie w Koszycach ukazał się w ramach serii „Listek lipy” wybór wierszy K.K. Baczynskiego pt. „Biała magia” w przekładzie i wstępem Słowacków, a w wyborze łódzkiego

## Listy do Redakcji

### „OBANDAŻOWANE DRZEWO”

E. Łazikowski dąsa się na mnie w nr 34 „Odgłosów”, że mu od-mawiam prawo do nakładania drzewom Raftanów. Ale odwraca uwagę od istoty moich wywodów i stawia sprawę nie w tej przegródce, do jakiej ja ją wstawiłem. „Chciałbym — pisze — zdecydowanie wystąpić w obronie swoistej klimatu twórczego, który warunkuje wszelką działalność twórczą”. Strażę z takiej haubicy nie przezwyciężym, a kolaryz mi się on z przysgodą z dziełnictwa Chłopa-kowi który siedział przede mną, podziękuję pismku. Oczywiście się poskarżył. Nauczyciel, był wstrząśnięty moim wyrykiem. Najpierw długo chodził, a następnie powie-

### „POMIDORY I PASKI KLINOWE”

Dyrekcja Kombinatu PGO w Łodzi niniejszym wyjaśnia że krytyka zawarta w w/w artykule jest w zasadzie słuszna. Problemy prowadzenia produkcji ogrodniczej pod szklarnią na wielkich obszarach były dla naszego rolnictwa nowością. Sytuacja ulega poprawie z roku na rok w miarę zdobywania doświadczenia przez coraz szerszą kadrę pracowników. Poprawie uległy problemy zaopatrzenia w wieloskładnikowe nawozy ogrodnicze, chemiczne środki ochrony roślin oraz mechanizacji prac uprawowych. Nadal zakład ma poważne kłopoty z utrzymaniem na należytym poziomie stanu kotłowni, gdyż są one wyposażone w elementy ele-

menty, pracownika uniwersytetu w Łodzi, dr Henryka Puśkowskiego. Autor wyboru przedstawia następujące tomy polskich pisarzy, m.in. również autorów żyjących i twórczych w Łodzi. W najbliższym czasie w jednym z czechosłowackich miesięczników literackich ukazuje się kolumna wierszy 16-letnich poetów.

„Poznamy secesyjną Wólczanę” — pod takim hasłem Sekcja Tradycji TPL zapoznaje łódzian z zabytkową ulicą Wólczanę jedną z nielicznych łódzkich ulic która w ciągu swej ponad 155-letniej historii nie zmieniła nazwy.

Swoją stałą scenę otwiera od nowego sezonu w Sieradzu Teatr im. Bogusławskiego z Kalisza.

Pięć lat istnieje już w pa-żu ZMP Łódzka Galeria Rzeźby. W ciągu tego czasu reprezentowanemu kilkadziesiąt rzeźb reprezentujących różne kierunki, wartości artystyczne i materiały. Stąd rzeźby te wędrowały do różnych rejonów miasta, przede wszystkim — do parków. Obecnie w galerii stoi osiem rzeźb.

Do września br. mają po- trwać w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 86 prace adaptacyjne związane z rozszerzeniem wnętrza i stworzeniem nowego wystroju wg projektu St. Cuchry-Cukrowskiego.

## Listy do Redakcji

### „OBANDAŻOWANE DRZEWO”

E. Łazikowski dąsa się na mnie w nr 34 „Odgłosów”, że mu od-mawiam prawo do nakładania drzewom Raftanów. Ale odwraca uwagę od istoty moich wywodów i stawia sprawę nie w tej przegródce, do jakiej ja ją wstawiłem. „Chciałbym — pisze — zdecydowanie wystąpić w obronie swoistej klimatu twórczego, który warunkuje wszelką działalność twórczą”. Strażę z takiej haubicy nie przezwyciężym, a kolaryz mi się on z przysgodą z dziełnictwa Chłopa-kowi który siedział przede mną, podziękuję pismku. Oczywiście się poskarżył. Nauczyciel, był wstrząśnięty moim wyrykiem. Najpierw długo chodził, a następnie powie-

### „POMIDORY I PASKI KLINOWE”

Dyrekcja Kombinatu PGO w Łodzi niniejszym wyjaśnia że krytyka zawarta w w/w artykule jest w zasadzie słuszna. Problemy prowadzenia produkcji ogrodniczej pod szklarnią na wielkich obszarach były dla naszego rolnictwa nowością. Sytuacja ulega poprawie z roku na rok w miarę zdobywania doświadczenia przez coraz szerszą kadrę pracowników. Poprawie uległy problemy zaopatrzenia w wieloskładnikowe nawozy ogrodnicze, chemiczne środki ochrony roślin oraz mechanizacji prac uprawowych. Nadal zakład ma poważne kłopoty z utrzymaniem na należytym poziomie stanu kotłowni, gdyż są one wyposażone w elementy ele-

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANIŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARVY (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.



WOJCIECH PLEBAN

## PUSTY DZIEŃ

Znowu pusto  
i nie  
tylko zegar  
— szydzi ze mnie  
pogłos tysiąca chwili  
nikle dźwięki  
dni  
lata  
podróży  
to wszystko  
może coś dodam  
coś dokończę  
nie dziś  
da Bóg — przeżyję

TADEUSZ WIERZBICKI



boli od zapłotków  
jęk wiatrowy gorszy od gromu  
jakby kto łeb ukreślił chmurze  
i śleka jucha deszcz  
nadto lepszych nie trza skrzypleć  
kożut mógłby ciec  
do diabła z tańcem  
panno leć  
z podkówek mu się sypie miód  
nim pomysleć chciała  
pannę w pół  
aż się błękit w górę wzdął  
jęczy skrzypku jęczy

ANNA LENC



Och! żeby tak można się zaśmiać  
Z tych też ziemskiego padolu!  
Znałecie krainę czułości —  
Już niepotrzebnej — nikomu.  
Przejdź przez milczenie cichaczem  
Spokojnie, bez słowa... żałować.  
I głośno, mocno przeżuwać  
Prawdziwie klamliwe słowa.

Klub Pracy Twórczej, który powstał dwa lata temu przy Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu, gromadzi w trzech sekcjach: literackiej, plastycznej i muzycznej uzdolnionych w różnych dziedzinach sztuki mieszkańców woj. sieradzkiego.

Z myślą o doskonaleniu warsztatu twórczego członków tego Klubu, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, WRZZ, ZW ZSMP i WDK zorganizowali seminarium w Krzeczowie nad Wartą, podczas którego referaty wygłosili: Andrzej Biskupski, Ryszard Hunger, Stefan Pozorski.

Odbył się też Turniej Jednego Wiersza, którego jury rozdzieliło nagrody: I Wojciechowi E. Plebanowi, II Tadeuszowi Wierzbickiemu, III Annie Lenc.

(fr)

RYMWID M. KONONOWICZ

## MOJA RODZINA

Fortuna kołem się stacza  
zgodnie z prawem przyciągania ziemi  
tym szybciej im bliżej żłobu  
worka przepastnego naszej egzystencji.  
I tak oto lawina spadająca  
moje siostry nieme  
NADZIEJA, MIŁOŚĆ, RADOŚĆ  
i brat mój rodzony, mój CIERNI I CIEN — JA.

Mój cierniu, wysychasz na słońcu  
Mój cierniu — wrastasz w żywe ciało  
Cierniu — oclerasz moje stopy  
Cierniu — korzenie puszczasz w serce

Fortuna krągłością kwadratu  
kolebie się po bruku jak zaczarowana doróżka  
tym wolniej im bliżej żłobu.  
Ktoś to dobrze wie — jedziemy na czas  
Coraz wolniej płiszcze się między kołami wybolista dróżka  
którą przejechać mają moje siostry głuche  
RADOŚĆ, MIŁOŚĆ, NADZIEJA  
i mój przygodny towarzysz, mój CIERNI I CIEN — JA.

Mój cierniu, depcesz mi po piętach  
Mój cierniu — docierasz do dumy  
Cierniu — splatałeś prostą drogę  
Cierniu — kończ, bólu oszczędź...

Fortuna odwraca się ogonem do wiatru teraźniejszego  
jak kurek na magistracie  
tym chętniej im więcej na nim patyny czasu  
I tak strony świata myśląc odwracają się tyłem  
nie postrzegają niczego poza sobą  
moje siostry ślepe  
MIŁOŚĆ, NADZIEJA, RADOŚĆ  
i wróg mój największy, mój CIERNI I CIEN — JA

Kulawe trojaczki  
NADZIEJA, MIŁOŚĆ, RADOŚĆ...  
mój CIERNIU...  
mój CIENIU...

Słońce wstało na pogodę. Wioska, w której Siwek spędził ostatnie dni swego życia, należała do ubogich. Bieda podmiejska, lumpenproletariacka zniszczyła dawne wieże rodzinne, a nowe nie miały z czego wyrosnąć. Nawet głosiciele ideologii zagladali tu rzadko. Dźwięczną kurwili się na przedmieściach wielkich miast, wracając do domu tylko po to, żeby wyliczyć chorobę albo urodzić niesłubne. Biedni przyjmowali ten dopust boży z pokorą, bogatsi nie znajdowali w tym nic nadzwyczajnego. Ludzie żyli tu w odrętwieniu, trudno ich było czym poruszyć. Nawet wiadomość, że tego czy owego zamknęła policja, albo że córka sąsiada przed otwarciem gazu wypuściła z klatki szczygła, śpiewaka biedaków, nie czyniła na nich wrażenia.

Z tej otepiałej codzienności wyrwał ich dopiero ów poranek. Daleko, na skrajach horyzontu grzmiało od świtu. Około siódmej żołnierze broniący pobliskiej granicy, po krótkiej, zawziętej wymianie ognia, ustąpili. Przejedźdźdź przez wieś z opuszczonymi głowami. Ludzie tłoczyli się na poboczach drogi, zegnając ich nie rozumiejącymi oczyma.

Nisko, tuż nad drzewami, pojawiły się samoloty wroga. Zakurzyło się wokół, zakotłowało. Nieświadomi niebezpieczeństwa cywile nie bardzo wiedzieli, co czynić. Dopiero na widok krwi ulegli panice, wpadli w popłoch. Matki tuliły do piersi dzieci, biegły od drzewa do drzewa bez celu. Mężczyźni, padając na ziemię, ciągnęli je za sobą. Zamęt trwał krótko, nie dłużej niż wybuch gniewu histeryka. Nastąpiła cisza. Pierwsze przerwały ją ptaki, zwołując się lekliwie w koronach drzew.

Gajda wracał do zagrody okrojonej wiklinowym, rozpadającym się płotem, nie bardzo wiedząc, co czynić. Los niczym go nie wyróżnił, owdowił wcześniej, w trzydziestym piątym. Jako wyrobnik na kolei zarabiał akurat tyle, żeby nie umrzeć z głodu. Miał dwoje dzieci — syna 10-letniego i młodszą o rok córkę.

Przed wejściem na podwórko stanął jak wryty, przy studni, obok wiadra z wodą, stał koń kawalerski w pełnym rynsztunku. Kiedy zobaczył Gajdę, przestał się ruszać, kulejąc ciężko w ich stronę. Gajda, z wrażenia, zamiast ustąpić zwierzęciu z drogi, ani drgnął. Siwek zatrzymał się tuż przed nim. Położył łeb na ramieniu gospodarza i cicho zarżał.

— Czego on chce, czego on chce... pomocy — przeorało się właściwe słowo, zanim dotarło do świadomości człowieka. Poklepał konia serdecznie, bez cienia lęku. Dzieci wysunęły się zza niego, przyglądając się gościowi z ciekawością. Gajda, choć nigdy nie miał z końmi do czynienia, szybko porozpinał, uwolnił konia z rynsztunku.

— Zaniesie do drewni i przykryje słomą — poleciał synowi. — Musimy go opatrzyć.

Dzieci błękitem spełniły polecenie. Dziewczynka przyniosła podarta białą koszulę ojca, która dnia poprzedniego wyprała. Siwek miał nogę silnie stłuczona. Po zabiegu ojciec zarządził:

— Nie wiadomo, kto go zostawił. Musimy go przechorować. Przecież to nasz

koń, żołnierski. Gdyby was kto pytał, mówcie, że tata kupił go wczoraj.

— A od kogo? — dopytywał się syn.

— Nie musicie wiedzieć. Wczoraj go kupilem.

Zadowolony, nie wiadomo z czego, poklepywał Siwkę jak kiedyś żonę. Tyłek miała twardy, sprężysty jak bęben, jak ten tu...

Na drodze, która niedawno pojechali nasi, pojawili się obcy. Przemknęli na motocyklach z huktem, wzniesając tuman kurzu, a w chwili później, ech, ludzie truchleli na widok tej potęgi

KAROL  
OBIDNIAK

## SIWEK

Droga rozpadła się pod ciężarem samochodów, dział, czołgów. Kilkunastu mieszkańców wiatowało przed gminą na cześć nowo przybytych.

Zanim ostatni żołnierze wroga zniknęli po drugiej stronie wsi, na drzewach i słupach wisiały już obwieszczenia nowych władz. A na gminie powiewała flaga ze swastyką.

Zawładnęli nimi bez najmniejszej przerwy w życiu. Nie dając pokonanym ani chwili czasu do namysłu, Gajda siedział z dziećmi przy oknie, a patrząc jak się ta stał, żelazto przewleka przez Polskę, zerkał niespokojnie na Siwkę. Koń stał przy płocie z wyciągniętą szyją, przestępował z nogą na nogę nerwowo, łąc z nimi chce czy co? Chłopak widząc wyczał ojca, bo wysoki przed dom wołał: Siwek! Siwek! I stała się rzecz dziwna: koń posłuchał wezwania, podszedł do domu, aż pod same drzwi. Zarżał i ni stad ni zowad, spokojnie zaczął szczyphał rdest bujnie pleniący się na podwórku.

Gajda, bardziej z nawyku niż z namysłu, poszedł do pracy. Nie poznał zawiadowcy. Stał przed stacją w nowym mundurze, w brudnej koszuli, z czerwona opaska i krzycał coś w obcym języku. Szybko się przebrał — myślał Gajda i poczuł obcość, trudną do opisania. Nigdy nie zazdrościł nikomu swobody, nawet wtedy, kiedy był głodny. Ale teraz, kiedy wysoko w powietrzu, gdzieś tam, gdzieś jeszcze lepiej, zienawidził go, jak nigdy nikogo.

Nie zrozumiał ani słowa z tego, co wykrzykiwał zawiadowca. Poszedł do roboty, i pracował jak zawsze, a nawyku, Dobrze, bo inaczej nie umiał. Ale

widok. W naszej części sali, a więc najbliższej drzwi wejściowych, panował względny spokój. Gońcy i Podreferenci zbili się w ciasną grupę szepcząc między sobą i patrząc nieufnie na pozostałych. Najbardziej podejrzana była grupa Starszych Referentów i Referentów. Stali na środku sali nie ruszając się ani w jedną, ani w drugą stronę i jakby czekając na dalszy rozwój wypadków.

JAROSŁAW  
WARZECHA

## JUŻ IDA

Kolejny Gońiec Specjalny donosił, że w pobliżu naszej instytucji zauważono pierwsze czujki Młodych — Zdolnych.

Na razie kryli się jeszcze po bramach, podobno przeprowadzając rozpoznanie. Jak meldował gońiec — Młodzi — Zdolni ubrani byli w zielone bluzy kroju wojskowego i takie też spodnie. Buty różne, natomiast podobne chlebaki zawieszane przeważnie na lewym ramieniu, choć w tej sprawie nie było pełnej informacji.

Za chwilę wbiegł Woźny, donosząc jak zwykle szeptem i jak zwykle do ucha samego Najgłówniejszego, że pierwszy Młody — Zdolny pojawił się w drzwiach próbując wtargnąć. Tymczasem podobno, że ma sprawę. Ponieważ sprawy mają wszyscy, co wylumaczył Młodemu Woźny, przez Judasza, Młodego nie wpuszczono.

W naszej grupie Podreferentów, przewodził wyraźnie Podreferent Mitelman. Przyciszonym głosem przekonywał, że właściwie nie mamy się czego obawiać, bo nam to może tylko wyjść na lepsze. Proponował też, by wybrać go delegatem do rozmów z młodymi, a on już nam to załatwi, Gońcie Złewa, wyrwał

gdzieś, w środku, rozgrzewała go złość. Hajcowała w nim, biała ogłaniami po twarzy.

Wracając do domu, spotkał przed gminą kilku podobnych do zawiadowcy przebrańców. Udał, że ich nie widzi, chociaż znali się od dziecka.

Siwek pał się przy studni, syn widać, że nie próbował. Do podłazi, starej drewnianej nleki lał właśnie wodę kiedy Gajda stanął w bramie ogrodzenia.

— Tata! — zawołał, biegnąc ojcu na spotkanie.

A za synem kużył niezdarnie koń. Gajda poklepał Siwkę po karku, syna pogłaskał po głowie, chciał o coś zapytać, ale po co? Po obejściu widac było, że dzieć czasu nie zmarnowały. Szli ku domowi, trzymając konia za grzywe, jak trójka starych przyjaciół. Mijali dni, noga Siwkę wydobrzała. Dzieci coraz częściej, w poszukiwaniu paszy, wędrowały z nim coraz dalej, na taki nieczyje, aż hen, za dębnie.

Początkowo dosiadali konia z piotru, a e już po kilku dniach radzili sobie doskonale bez podpórki. Widok rodzeństwa na dorodnym koniu budził we wsi sensację, a wśród rówieśników — zazdrość. Dzieciom świat widziany z wysokości prawie dwóch metrów, nawet ten brunatny, ze swastyką, wydawał się mniej groźny, Siwek dodawał im pewności siebie, jakby ich wyróżniał, podnosił ich wartość. A wspólne wędrowki po lesie zapisywały się w ich pamięci jak bajka. Niestety. Wkrótce przetrwała je zima, śnieżyca i mroźna. Ogrzowana komórka dawała Siwkowi schronienie przed zimą, ale nie więcej. Koń coraz częściej odczuwał głód. Któregoś dnia przesadził ogrodzenie i powędrował w odwiedziny do sąsiadów, jak żebrak. Częstoowano go skromnie, czym kto miał. Na początku grudnia trzydziestego dziewiątego roku skopowane przez Niemców na ziemie ziemniaki kłó w nocy rozwalili. Energiczne śledztwo wnet doprowadziło do ujścia przestępcy. Psy policyjne odszukały go bez trudu. Przestępca był Siwek. Zandarmii wywieźli go z zagrody ze spętanymi nogami, bijąc bykowcami gdzie popadło. Około południa, na plac przed gminą spędzono mieszkańców. Przed stołem, za którym siedział herr Holzberger, stał Siwek. Ledwo się trzymał na nogach. Na znak sędziego zandarm podprowadził konia bliżej do stołu. Herr Holzberger wstał i zapytał: Czy to ty zniszczyłeś mienie niemieckie? Es-kortulacy Siwkę zandarm odpowiedział: Ja wohl. — Za kradzież mienia należącego do narodu niemieckiego skazuje się to polskie bydło na karę śmierci przez rozstrzelanie. Od tego wyroku odwołania nie ma. — Ja wohl — padła krótka odpowiedź. Zandarm pociągnął Siwkę za uźde na plac węgłowy. Za Siwką, jak na pogrzebie, szli Gajdowie. Dzieci nawet nie płakały, były przerażone. Za nimi, w pewnej odległości szła reszta mieszkańców, prawie dwieście osób. Kiedy orszak zatrzymał się, a zandarmii podgonili zostających z tyłu, rozległ się strzał. Siwek zerwał się, unosił wysoko w górę spętane nogi, potrząsał nimi jak kaidanami i rymał jak pomnik, jak symbol poniżenia. Była to bierszka publiczna egzekucja w tej wiosce. Gajdowie pochowali Siwkę pod lasem. Nie wiadomo, kto postawił na grobie krzyż.

się natomiast z pomysłem utworzenia od zaraz Ruchu Młodo-Zdolniackiego tu, wewnątrz spokój. Gońcy i Podreferenci zbili się w ciasną grupę szepcząc między sobą i patrząc nieufnie na pozostałych. Najbardziej podejrzana była grupa Starszych Referentów i Referentów. Stali na środku sali nie ruszając się ani w jedną, ani w drugą stronę i jakby czekając na dalszy rozwój wypadków.

Wpadł Woźny: — Wdarł się na schody — krzyknął — Ale zdążyłem na szczęście pozamykać drzwi do przedcekalni, czekalni, przedpoczekalni, poczekalni i po poczekalni. Łatwo im nie będzie — powiedział z dumą, Najgłówniejszy natychmiast odznaczył Woźnego Medalem za Wierna Służbę. Zapadła cisza. Wskazówka elektrycznego zegara przeskakiwała z chrzęstem kolejne minuty. W naszej grupie naradzano się cicho nad otwarciem drzwi — Młodym — Zdolnym, ale Mitelman pomysł storpedował, groźąc, że doniesie, Gońcie Złewa nazwał Mitelmana zdrajcą i zaczął montować w tajemnicy własną grupę.

Woźny przyłożył ucho do drzwi i powiedział: — Storsowali przedcekalnie. I wtedy podreferent Mitelman podniósł do góry rękę.

— Słucham — powiedział Najgłówniejszy.

— Czy wiecie panowie jak walczy się z mrówkami faraona? — spytał.

Nikt nie wiedział. Ktoś nawet wyrwał się, że nie ma sposobu.

— Jest — powiedział Mitelman — Aby mrówki nie rozlażyły się po całym mieszkaniu, należy wysypać cukrem ścieżkę dostarczając im pożywienia, ale i ograniczając jednocześnie teren wędrowek. Ścieżkę z cukru można nawet wprowadzić pod drzwi sąsiada. Mrówki sa i fakty ich nie było.

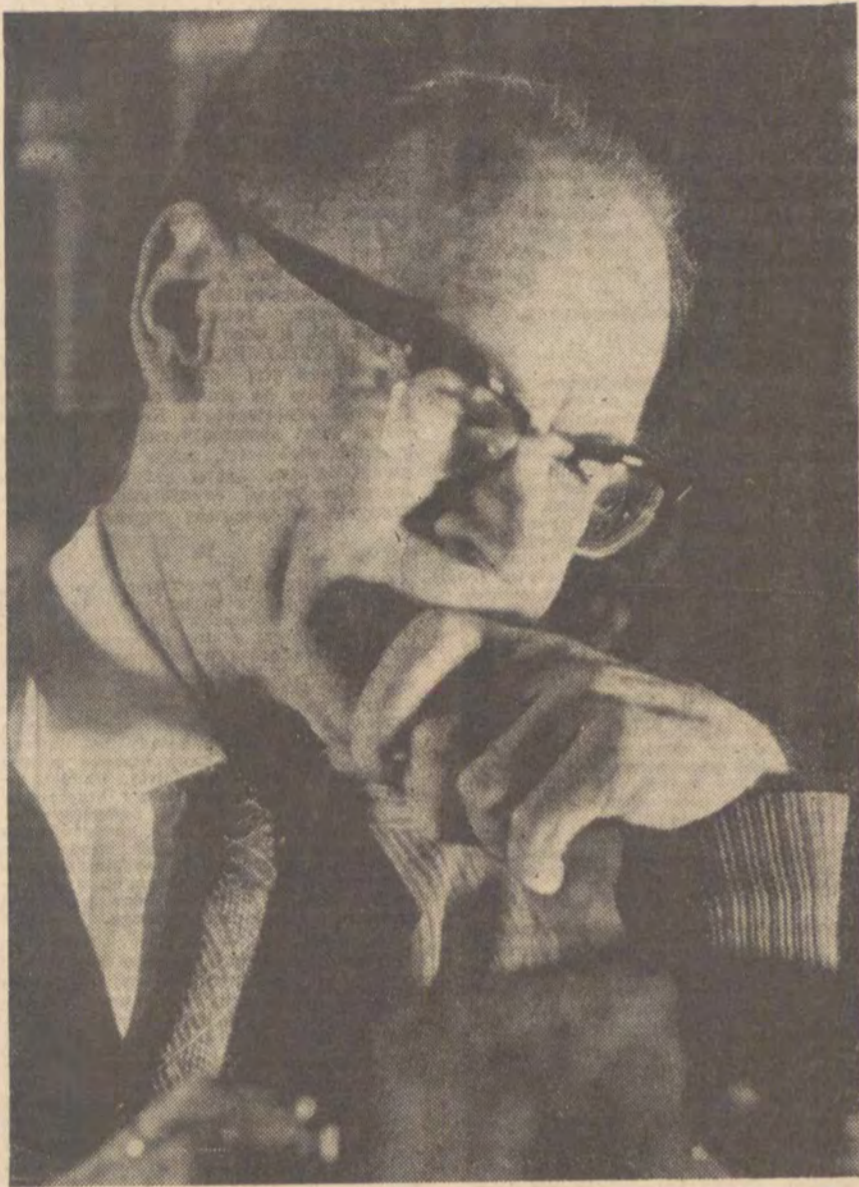
Najgłówniejszy uśmiechnął się szeroko i natychmiast odznaczył Mitelmana Medalem za Bardzo Wierna Służbę.

Po chwili, w towarzystwie dwóch Zastępców i Najstarszego z Najstarszych Radców, szedł śmiało w stronę Młodych — Zdolnych.

Najgłówniejszy uśmiechnął się szeroko i natychmiast odznaczył Mitelmana Medalem za Bardzo Wierna Służbę.

Po chwili, w towarzystwie dwóch Zastępców i Najstarszego z Najstarszych Radców, szedł śmiało w stronę Młodych — Zdolnych.

# ŻYWIÓŁ PROZY WOBEĆ APOKALIPSY



Fot.: W. Jastrzębski

Jedyną do czego naprawdę się poczuwam, to obowiązek zastanowienia się nad tym, co jest moim tematem. Coś w rodzaju pytania zwróconego do siebie — pamiętam świadomości? Pamięć? — co to jest naprawdę ten mój temat? —

Leon Gomolicki, „Kiermasz”

1.

Wbrew pozorom wcale nie jest łatwo pisać o zasłużonym w dziedzinie literatury twórcy przy okazji jubileuszu. No bo na dobrą sprawę ciągle nie bardzo wiadomo: jak? W sposób zdawkowy i komplementowy zarazem? A może lepiej dać szczerze omówienie całego dorobku? Czy też pisać o życiu, skoro assumptionem jest tu rocznica urodzin? W przypadku Leona Gomolickiego wybór jest dodatkowo utrudniony. Należałoby właściwie pokazać jego bogate życie, dwujęzyczną twórczość poetycką, zainteresowania plastyczne, osiągnięcia naukowe, działalność redaktorską, a nade wszystko przecież dorobek prozatorski. Niechaj mi Czcigodny Jubilat wybaczy iż miast wszechogarniającego okazjonalnego szkicu w siedemdziesięciopięcioletnie urodzin podzielić się z czytelnikami „Odgłosów” kilkoma refleksjami o tym wyjątkowym zjawisku jakim jest Jego proza.

2.

Jerzy Rzymowski, autor wnikliwego studium o twórczości Leona Gomolickiego pt.: „Erynie historii i człowiek” stwierdził we wstępie do trzytomowego wyboru „Prozy” iż pisarstwo Gomolickiego to prawdziwy raj dla komentatora. Święta prawda. Prawda jest również i to, że oraktywnie można wybrać dowolny cytat jako punkt wyjścia do rozważań i pisarstwo autora „Uprowadzenia Baucis” jest ono bowiem bardzo skondensowane myślowo i stylistycznie.

Sądze, że w tym przypadku punktem wyjścia stać się mogą z powodzeniem zawarte w „Czasobranii” rozmyślenia o pojmowaniu „tak zwanej” rzeczywistości. Strzeżąc

się one w paradoksalnym sformułowaniu, iż w rzeczywistości rzeczywistość nie istnieje. Paradoks ów pisarz rozwiązuje następująco: „rzeczywistość nie istnieje w teraźniejszości, lecz dopiero się staje z czasem, właściwie po czasie, my zaś — nie wiem dlaczego — nazywamy ją pamięcią. Podobno dawniej nazywano ją świadomością. Ale to też nie było słuszne”. Cytat ten wymaga dalszego sprecyzowania. Chodzi tu po prostu o rzeczywistość przedstawioną dzieła literackiego, o rzeczywistość podlegającą już nie bezpośrednio przeżyciu, lecz interpretacji, zrozumieniu i wyjaśnieniu.

W pisarstwie Leona Gomolickiego świat przedstawiony jest w istocie pamięcią, może precyzyjniej: funkcją pamięci. I to podwójnie: co najmniej

rozumianą — jako funkcja pamięci narratora oraz jako funkcja pamięci pokoleń, jako obecność zbiorowego dorobku intelektualnego, żywołność skarba kultury.

Apokalipsa XX wieku, czyli druga wojna światowa oraz okupacja hitlerowska — to najogólniej nazwana problematyka większości książek Gomolickiego. Zagrożenie jednostki i całego narodu, zasada zbiorowej odpowiedzialności, runiecie tradycyjnego systemu wartości etycznych i kulturalnych, zachwianie proporcji między życiem a śmiercią — to problemy szczegółowe, uwidocznione w konstrukcji losu kolejnych bohaterów.

Proza ta jest artystyczną ilustracją pewnego zjawiska psychologicznego: w momencie eksterminacji człowiek zagrożony nie może myśleć ani o bestialstwie oprawców, ani o własnej bezbronności, niemocy. Normalny umysł broni się w takiej sytuacji przed obłędem, odzywa się w nim zbawczy instykt niepamięci. Funkcja pamięci dochodziła do głosu później i różnorodnie się objawiała. W przypadku autora „Kiermaszu” pamięć przeżyła okupacyjnych przez lat dwadzieścia niemal mocowała się z mechanizmami tłumienia, nim nastąpiła prawdziwa erupcja literackiego „rozrachunku”. Użyłem tego obiegowego sformułowania i natychmiast poczułem ochotę opatrzenia go — wzorem podpatrzonym u Gomolickiego — znakiem zapytania. Bo czy w rzeczy samej jest to zwykły rozrachunek literacki? I czy w dodatku? Jednostki, generacji, narodu? Wobec natury? Kultury śródziemnomorskiej? Trafniejsze zatem będzie nazwanie literackiej twórczości Leona Gomolickiego zderzeniem się żywiołu prozy z kategorią imperatywnym poszukiwania odpowiedzi na pytanie: czym jest apokalipsa?

Powieść pojmowana jako żywioł prozy, wyjątkowo dobrze służy zamierzeniom autora „Białego runa”. Jest jak wielokształtne naczynie, do którego wlewa się bez przerwy rozmaite mikstury: obsesje i domysły, przeżycia i reminiscencje lektur, katastrofizm i nadzieje. Naczynie owo bez przesady określić można mianem reorty Fausta, bo przecież funkcja pamięci jest funkcją poznawczą, cała zaś komplikacja sytuacji literackiej oraz procesów myślowych w utworach Leona Gomolickiego przeciwstawia się wykształconym wcześniej konwencjom i sposobom traktowania zjawisk, o których pisze. Akcentuje powikłanie i pogmatwanie zjawisk. Jednocześnie czuje potrzebę interpretowania ich na własny chociażby tylko użytek. Potrzebny mu do tego dystans, nie tyle zresztą czasowy, co kulturowy. Stąd zwrot w stronę kultury antycznej, stąd tak wiele mitologicznych mądrości wplecionych niekiedy dość nieoczekiwanie we współczesne wątki.

3.

Gdybym starał się oddać jednym słowem istotę prozy Leona Gomolickiego, napisałbym z całym przekonaniem, iż stanowią ją ustawiczne zdziwienia. Wśród nich i owo zdziwienie zasadnicze, wyrażone w „Ucieczce” przy pomocy wschodniej przypowieści o duchu Pustyni, którego zaskoczył fakt, że „człowiek pozostając pozornie tą samą istotą może pod powłózką ciała stokroć umrzeć i narodzić się na nowo”. Takim właśnie rejestrem kolejnych śmierci i narodzin człowieka w obrębie jednego i tego samego życia są książki Gomolickiego. Rejestrują one bowiem przede wszystkim katastrofy, jakie człowieka spotykają: małe i duże, prywatne i społeczne, niezauważalne i historyczne, błędzenia twórcze i niespełnienia artystyczne. „Ostatecznie — powiada pisarz w „Dziękach muzach” — życie jest szeregiem katastrof”. Nie powinno być to jednak rozumiane jako wyraz pesymizmu. Gomolicki opowiada się przecież za swoistą ewolucją, której ukoronowaniem jest postęp samoświadomości. W ostatecznym rozrachunku — stwierdza — każde niepowodzenie obraca się na korzyść doświadczanego przez los. Wraz z przykrym doświadczeniem odchodzi to, co nie było jeszcze doskonałe i w ten sposób powstaje szansa stworzenia nowej, lepszej treści i doskonalszej formy czegoś tak ulotnego, niepewnego i niełatwego do zdefiniowania, jak życie ludzkie. W „Arce”, gdzie przedstawił ideę Kosmicznej Arkki, wiodącej ku doskonałemu światu, stwierdził: „Istnieje, a nawet przekonany jestem, że potęguję się Miłość do Lepszego. Nadzieja na Lepsze. Wiara w Lepsze Pewność, że Ostateczne Skorygowanie Form Świata nie tylko jest możliwe, lecz Całkiem Realne”.

Wszystkie zdziwienia, jakich doznaje narrator tej prozy mają nade wszystko charakter intelektualny. Narratora determinuje pasja dociekania prawdy o ludziach, zjawiskach, kulturze, moralności. Największymi jego wrogami są banał i zrutynizowane myślenie. Każdą sprawę traktuje niejako od nowa, to znaczy za każdym razem usiłuje inaczej, zupełnie oryginalnie dochodzić sensu zjawisk, nawet najdrobniejszych. Jest wyznawcą „odsłaniania wszelkich prawd, bo z tego płynie — jak to przypomina w „Owocu z grzywną” — ogólna korzyść”.

Pod wpływem tego przekonania godny uwagi i literackiego przedstawienia wydawał mu się z początku każdy temat, zbierany do kolejnych powieści jak rozsypane na drodze kamyczki. Okazało się jednak, że naprawdę istnieje dlań tylko własny temat. W przypadku autora „Tańca Eurynome” temat ów wcześniej czy później dotyczył musi okupacji, która była „naszym potopem, naszą wojną trzydziestoletnią, naszą dżumą”. Okupacja powraca w teraźniejszości bohaterów książek Gomolickiego, nie mogą oni wyzbyć się upiorów przeszłości, które wymagają nieustannego komentarza. I funkcję ową proza Leona Gomolickiego spełnia w pierwszym rzędzie.

Pisarska uciążliwość Gomolickiego polega między innymi na tym, że po-

wieści swe zaczyna i kończy w dowolnym miejscu. Podobnie przecież jest z życiem. Ale czy powieści nasładowują życie? Wiedza książkowa, owe mitologiczne i historyczne mądrości, jakimi przesiąknięty jest bez reszty narrator, ustępuje wszak pod wpływem nieoczekiwanych wydarzeń i przeżyć, przekształca się w niewiedzę, w bolesny znak zapytania. W „Dziękach muzach” sui generis pamiętniku własnej twórczości, pisarz wymienia te iterackie nurty, które ze szczególnym upodobaniem posługiwały się happy endem. Dziś pisać tak nie można — wszystko się pomieszało, zaś pozorna klarowność i prostota utworu literackiego jest zwykłym fałszem poniżającym sztukę pisania, stwierdza niemalże expressis verbis. Literacki schemat nie ułatwi skomplikowanego procesu poznania. Trzeba znaleźć odbiorcy, dostrzec w nim partnera, obdarzyć zaufaniem czytelnika aktywnego, który ma niemal takie same prawa jak autor, czy może raczej redaktor: ocenia tekst, konfrontuje z własnym zasobem wiedzy i doświadczeń, i z tego dopiero komponuje nową jakość intelektualną.

4.

W systemie pisarskim Leona Gomolickiego istotne miejsce zajmują preteksty. Służą one stopniowemu odkrywaniu właściwej treści utworu. Wymownym pretekstem staje się na przykład motyw podróży na wyspę Patmos, na której przed niespełna dwoma tysiącami lat autor „Apokalipsy” odbywał zesłanie.

Czego szuka polski podróżnik na skalistej greckiej wyspie? Jakże ślady ma nadzieję odnaleźć? Czy chodzi mu o egzotyczną dekorację do najprostszego stwierdzenia, że nie wolno niczego zapomnieć z dzieł ludzkich, nie wolno dopuścić do całkowitego znieczulenia? I tak i nie. Chodzi przede wszystkim o efektywne literacko i efektywne myślowo ostrzeżenie, wyrażone w momencie, gdy narrator dostrzega niedawnego barbarzyńcę beztroško fotografującego antyczne ruiny.

„Stajem przejęty. Doprawdy po raz pierwszy uderzony myślą, że historia to nasawstwiająca się gruzina. Czy istotnie musimy robić z nich rezerwy zniszczenia? Czy zblizsiera mogą dać wyobrażenia o zburzonej kulturze? W zapale tworzenia nie chcemy wiedzieć, że czas zamienia posągi w wapno. Mimo to wolę szaleństwo od cmentarza. Choć wszyscy ci, którzy przeszli przez próg katedry, muszą obdarzać nieświadomych tego swoją obsesją, oczywiście na próżno — Ale czy naprawdę obsesją? Czy nie chodzi o ostrzeżenie? Czy której z kolejnych kultur nie da się w końcu uchronić przed zniszczeniem —”

TADEUSZ BŁĄZEJEWSKI

## ROK KORCZAKOWSKI

W sierpniu 1942 roku zginął męczenną śmiercią wybitny pisarz polski, działacz i wychowawca młodzieży Janusz Korczak. Którego dokładnie dnia, nie wiadomo. Faktem jest, że 5 sierpnia dzieci z Domu Sierot wraz z wychowawcami i Januszem Korczakiem zostały skierowane do transportu odchodzącego z bocznicą kolejowej przy Dworcu Gdanskim w Warszawie. Treblinka była ostatnim etapem drogi Janusza Korczaka.

Biografie pisarza zaczynają zazwyczaj swoje opowieści o Korczaku od opisu tej drogi. Korczak mógł się uratować, a jednak nie skorzystał z możliwości ucieczki. Pozostał z dziećmi do końca. Powtórzę cytowany w wielu publikacjach fragment wspomnień Ireny Krzywickiej („Wielcy i niewielcy”, Warszawa 1960): „Więc zostaje tylko po to, żeby je okłamać. Żeby do ostatniej chwili, patrząc im szczerze i ciepło w oczy, mówić, że jadą na wycieczkę, na wieś (...). Od czasów krucjaty dziecięcej nie było

równie przejmującego i tragicznego widowiska niż te dzieci, maszerujące przez zduszone obrzeża miasta, ze śpiewem, przystrojone odświętnie, z radością w oczach — na śmierć. Niektórzy twierdzą, że dzieci wiedziały, dokąd je ukochany doktor prowadzi. Nie wiem, jak było, ale wydaje mi się to niemożliwe. Byłby to akt brawury nie do pomyślenia u dzieci. O wiele prawdziwsze i o wiele wznioślejsze wydaje mi się to kłamstwo do ostatniego tchu, kłamstwo, do którego są zdolni tylko rodzice wobec umierającego dziecka. Tym kłamstwem, wbrew oczywistości, tym całkowicie zatraceniem siebie, bohaterką reżyserią śmiertelnego pochodu dźwignął się Korczak powyżej zwykłej miary ludzkiej, nadając właściwy sens swemu życiu. Wśród sławnych zgonów, jakie zna historia, ten jest jednym z najbardziej przejmujących.

Tak siedł mały, rudawy doktor na czele śpiewających dzieci, z uśmie-

chem zapewne, bo dzieci mają bystre spojrzenie i wyłobity smutek, a w sercu przeżywał mękę każdego dziecka z osobna. Miał, na nieszczęście, wyobraźnię, więc widział przed sobą ich śmierć. O własnej na pewno nie myślał. Ale jeszcze przez godzinę, przez kwadrans, przez minutę w jego władzy było dać dzieciom poczucie bezpieczeństwa i radości. Jeszcze przez kwadrans, jeszcze przez minutę... Cóż więcej może zrobić bezsilny człowiek?”

Rok bieżący jest rokiem korczakowskim. Korczak urodził się sto lat temu, 22 lipca 1878 roku. Odbijają się sympozja naukowe, poświęcone Jego dziełu Pedagogowie i historycy literatury badają dzieła Korczaka, starają się odpowiedzieć na pytanie, jakie są możliwości zastosowania systemu korczakowskiego we współczesnej pedagogice. Korczak całe życie i swoją twórczość poświęcił dziecku. Uczył, jak kochać dziecko i uczył, jak należy traktować swoje obowiązki wychowawcy. Autor esejistycznej opowieści o Januszu Korczaku Marek Jaworski („Janusz Korczak”, Wyd. Interpress, Warszawa 1977) pisze, że „Korczak stał się symbolem pewnej postawy moralnej, którą w największym skrócie określimy terminem stworzonym przez prof. Tadeusza Kotarbińskiego — postawą społecznego opiekuna, człowieka, na którym zawsze można polegać”.

Rocznice historyczne i literackie nie służą chyba tylko temu, aby je przypominać. Z przypomnienia muszą wynikać określone wnioski i nauki. Dzieła Korczaka, literackie i pedagogiczne, poddajemy analizie krytycznej. Z niektórymi poglądami można nawet polemizować. Ale jedna prawda zostaje nienaruszona: prawda o człowieku, który nie opuścił swoich dzieci; o człowieku, który miłował ziemię, na której żył; który uczył patriotyzmu.

Pablo Neruda pisał: „Potrafię żyć tylko na własnej ziemi; nie mogę w pełni istnieć bez stawiania na niej stopy, bez przykładania do niej ucha, bez wsłuchiwania się w krącenie jej wód i jej cieni, bez świadomości tego, że moje korzenie szukają w głębi jej macierzystych substancji”. Korczak był człowiekiem, który potrafił żyć tylko na własnej ziemi. I nie mógł istnieć bez szukania na niej oparcia. Kiedy ta ziemia ginęła i on zginął, „Kaźde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi — pisał Conrad — skąd czerpie życie i siły; tak samo człowiek jest wrosnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wespół z życiem”. Korczak czerpał swoją wiarę w człowieka i swoją siłę z tej ziemi; do niej należał i do niej należał. Jest prawdą tej ziemi i jej legenda.

Do Korczaka będziemy wciąż wracać. Nie tylko z okazji rocznicowych. Albowiem Korczak dał przykład,

jak należy kochać swój kraj. Jak należy kochać na co dzień, jak kochać w chwilach zagrożenia. Korczak uczył także, jak należy pracować. W Tezach Programowych VI Plenum KC jest mowa o patriotyzmie socjalistycznym: „Współczesny patriotyzm zawiera w sobie wszystkie postępowe wartości tradycyjnego patriotyzmu polskiego: miłość do kraju ojczystego, gotowość do najwyższych poświęceń dla ojczyzny, przywiązanie do kultury narodowej, dumę z jego bohaterstwa przeszłości”. Jest to jednak patriotyzm nowy i pełniejszy, który zawiera nowe wartości społeczne i ideowe: „Patriotyczna służba dla ojczyzny i społeczeństwa najpełniej manifestuje się w pracy pomnażającej materialny i kulturalny dorobek narodu”. Na inauguracji nowego roku szkolnego na Politechnice Warszawskiej, w dniu 1 października 1976 r., mówiąc o dyscyplinie społecznej i odpowiedzialności, i Sekretarz Partii powiedział: „Nasza ojczyzna potrzebuje Waszych rąk, Waszych myśli, Waszego trudu i wysiłku, lecz również — Waszych uczuć, Waszych serc”. Słuchając tych słów, czy nie przypomina nam się postać doktora Korczaka, który ojezyźnie oddał swój trud, swoje myśli i serce?

TADEUSZ PAPIER

# JAK ZOSTAĆ HANDLOWCEM (ZAGRANICZNYM)?

Dalszy ciąg ze str. 1

Handel wewnętrzny, ekonomika przemysłu i ekonomika budownictwa nie mogą się poszczycić podobnie dużym stopniem zainteresowania u maturzystów. Te kierunki studiów utożsamiają się z czerk, mniej lub bardziej słusznie, z monotonną i mało ciekawą pracą biurową. Z handlem zagranicznym jest zupełnie inaczej.

2.

MARIAN zdaje po raz pierwszy. Jest już po egzaminie ustnym. Dzieli się wrażeniami.

Tematy udostępniono zdającym na długo przed rozpoczęciem egzaminów. Dostali na przykład 270 pytań problemowych z geografii. Wiedzieli dokładnie, z czego będą egzaminowani. MARIANOWI przyszło przebrnąć przez „rafy koralowe” i gospodarkę Indii. Kierunek handlu zagranicznego wybrał uznając go za szczególnie atrakcyjny. Ma znajomego na placówce w Iraku. Imponuje mu to: kontakty, ludzie interesu, wielki świat. Chciałby podróżować. Swą decyzję podjął już na rok przed maturą. Alternatywę stanowić mogła tylko romanistyka stwarzająca pozornie podobne perspektywy.

3.

MARYLA kartkuje pośpiesznie swoje notatki. Już tylko minuty dzieli ją od wejścia na salę egzaminacyjną. Zna wszystko, nawet dokładne dane statystyczne dotyczące trzody chlewniej i światowego poglądów bydła. Na egzaminie każda wiadomość może okazać się użyteczna. W końcu nie wszystkim pisane są owe „rafy koralowe”.

Zdawała już w zeszłym roku. Nie dostała się wówczas z braku miejsc i zaproszono ją do ekonomiki budownictwa. Przerwała po zaliczeniu pierwszego semestru. To rozwiązanie okazało się niesieruszące.

Sprawa wrażenie dobrze przygotowanej. Tak naprawdę to pasjonuje ją głównie muzyka. Śpiewa nawet w operowym chórze. Z zapalem mówi o walorach naszej współczesnej muzyki poważnej i jazzowej. Studia na kierunku handlu zagranicznego to dla niej „wyższa szkoła ogólnokształcąca”. Marzy o stworzeniu rasy rodzimych impresariów do zbiorze sprzedających nasze muzyki

nych zbiorowościach państwowych. Chciałaby poznać kulisy podejmowania decyzji. Ciekawość poznania tych procesów przesądziła o jej wyborze. Myślała także o cybernetyce, lecz w handlu zagranicznym upatrzyła większe możliwości.

4.

Trudno ocenić pewną zbiorowość na podstawie fragmentarycznych wypowiedzi. Pewne uogólnienia są jednak już możliwe.

Mit, czy też pewien stereotyp myślowy dotyczący studiów i przyszłej pracy jest dosyć głęboko zakorzeniony w świadomości większości kandydatów. Zauważalny on jest i na innych kierunkach np. filologia zachodnia, archeologia — szczególnie śródziemnomorska, prawo międzynarodowe, psychologia, kulturoznawstwo. Owa fascynacja stereotypów podróży, pieniędzy i kontaktów decyduje często jeżeli nie świadomie, to podświadomie o wyborze kierunku studiowania absolwentów szkół średnich. Nie dysponują oni jeszcze zbyt często odpowiednim zasobem środków instrumentalnych i informacji zdolnych racjonalizować ich decyzje.

Na egzaminach ustnych kandydatki dysponowały odpowiednią ilością czasu potrzebną na przygotowanie się do odpowiedzi. Atmosfera jaka egaminujący stworzyli w czasie egzaminów zmierzających w kierunku zredukowania do minimum napięcia towarzyszącego egzaminowi. Dzieci temu znikało uczucie zagrożenia i nabyta wiedza przetrwała się niezwykle łatwo. Egzamin tradycyjny w swej aktualnej formie, mimo całego obiektywizmu, nie jest w stanie określić stopnia motywacji zdających młodzieży. Status studenta jest ciągle stanem pożądanym. Jeżeli chodzi o status magistranta, to mimo sporej powszechności uważany jest on jeszcze za społecznie korzystny.

Z drugiej strony ogólne korzyści, jakie dają studia są zbyt mało doceniane. Zbyt często myśli się o studiach wyłącznie w kategoriach dyplomu z odpowiednim sztyblem. Wybór kierunku handlu zagranicznego jest jeszcze w dużej mierze oparty o pewne legendy i świetlane perspektywy.

Fascynacja plynąca ze stereotypów wynika z braku informacji umożliwiającej kandydatom poznanie mechanizmów przyszłego zawodu. Rzeczywistość nie jest usłana różami, a i nie każdy zostaje od razu radcą handlowym, czy przedstawicielem polskiej fir-

450 zł w ciągu jednego dnia. To była upalna sobota, ludzie wyjeżdżali za miasto. Najmniej, to było 40 zł. Bez przerwy padało tego dnia i te 40 zł zarobiłem z kompresora. Jak jest deszcz, to można przecierać tylnie i przednie światła z błota. Z tym, że to jest nieprzyjemne, trzeba chodzić z wiaderkiem i byłem wtedy cały mokry. 60 zł, to największa suma jednorazowa. Kiedyś podjechał kierowca i prosił mnie żebym mu umył samochód. No i zaczęłam się brać do tego samochodu, jak pies do jeża, trochę dlatego, że pierwszy raz myłem samochód, a trochę dlatego, że mi się nie bardzo spieszyło. W końcu facet nie wytrzymał i pokazuje mi jak należy myć. Umył w ten sposób cały samochód, a ja wzięłam 60 zł.

ANKA: — Często nam się zdarzało pięćdziesiąt, bardzo często czterdzieści złotych. Wtedy dawali zwykle do ręki, a mnie do kieszeni. Lepiej było mieć kieszeń, bo kierowcy pytali ja: „A gdzie pani ma kieszeń?”

Pierwszego dnia miałam taki numer: dali mi strój, ten CPN-owski na mężczyznę metr dziewięćdziesiąt. Oni mają kieszonki z przodu, ale jak ja włożyłam bluzę, spodnie i okryłam to wszystkim pakietem to kieszonki wyszły mi na pupie! I taki starszy pan pyta mnie, gdzie pani ma kieszonkę? Ja mówię: Chyba tu, z tyłu! — i pokazuje. On mi wrzucił monetę i mówi: „Wie pani co? Ja sobie jeszcze kłopoty!” A mnie już było tak wszystko jedno, więc powiedziałam: A kłopoty panu sobie!

Tomek: — Niedaleko była prywatna ciastkarnia. Jej właścicielka miała samochód i jeździła do nas po paliwo. No i jednego dnia umyłem jej szczyb — zapłaciła dwie dychy. Następnego dnia przyjechała znowu — też umyłem i dostałem dychę. Za jakiś czas była znowu, ale zanim podjechała do stacji umyła przed ciastkarnią dokładnie wszystkie szczyby sama! Oczywiście tak ostentacyjnie, żebym mógł to widzieć.

Anka: — Z początku, jak miałam podejść do samochodu, to musiałam sobie powiedzieć: „Anka, ruszaj do przodu!”. Ten, co nalewał benzynę kazał mi tak właśnie postępować. Mówił: „Anka, atakuj, jak tygrysić!” Kiedyś patrzyłam, nadjeżdża „fiat”, więc ja podskoczyłam, uśmiech promienny i do samochodu. Wywijam szmatą, podśpiewuję sobie, podnoszę wycieraczki. Nagle patrzę w samochód gdzie grabowy nastrój. Kierowca do mnie marsowa minę zrobił. Myślę, co jest? Więc jeszcze większy uśmiech. Ale patrzę, że on mi daje znaki do tyłu. Oglądam się, a oni widać konająca staruszka, taką straszna na twarzy... W tym momencie nie wiedziałam, co zrobić! Czy powiedzieć facetowi, że składam mu kondoleniec? Ale przecież ona żyje! Więc jeszcze większa gafa! Czy przeprosić...? Tego dnia już nie chciało mi się więcej uśmiechać...

WIESKA: — Anka ciągle coś psuła. Jakies srubki urywała, albo wycieraczka jej w ręku została, albo taka sprząkna szczyba z przodu. A kierowca spojnął na nią zwykłe takim wzrokiem niepewnym... Kiedyś podjechał czworoosobowy samochód, nie pamiętam już, jaka to była marka, pucowaliśmy, pucowaliśmy, skończyliśmy, facet zapłacił, a Anka mówi: „Stuchaj ja ide do kantorka”. Co się stało? — „Oczywiście”. „Bo ja mu coś zepsułam, ale jeszcze nie wiem co! Powiedz mi, jak powiedzieć?”

To ja mówię: — „Odjechał”. Patrzę też Anka, czegoś szuka. „Mam! Mam! Srubkę! Urwałam srubkę! Sehowam, może przyjedzie po nią”. Bo ona jak szoruje, to na nie nie patrzy, mało ręki do srodka nie wyciągnie przez szybę!

Tomek: — Najwięcej zarobiłem

my zagranicznej. Wyjazdy na targi lipskie i brneńskie zdarzają się też zapewne częściej niż na ekspozycje paryskie czy londyńskie. Brak informacji lub pewna dezinformacja powodują, iż wybór kierunków studiów pozbawiony racjonalnych podstaw, prowadzi do przyszłych rozczarowań. Praca w handlu zagranicznym mimo swej kosmopolitycznej aurooli pozostaje w dużej części biurową, a podróże czy służbowe wyjazdy stanowią wyróżnienie jedynie dla nielicznych, którzy w swojej wieloletniej praktyce na naszym własnym podwórku potrafili wykażać się określonymi zdolnościami i przedsiębiorczością.

5.

Centrala Handlu Zagranicznego TEXTILIMPEX jest chyba największym odbiorcą przyszłych absolwentów handlu zagranicznego w Łodzi. Rokrocznie przyjmuje około 10-15 świeżo upeieczonych „businessmanów”. Ich przyszłe losy i perspektywy zawodowe uwarunkowane są indywidualnymi predyspozycjami. Po odbyciu 3-miesięcznego stażu z wynagrodzeniem 2.100 zł, czeka ich dwuletni okres pracy biurowej na miejscu w kraju. Dyrektor do spraw zatrudnienia nazywa ten program adaptacją społeczno-zawodową. Absolwenci otrzymują wynagrodzenie 2.500 zł w ciągu pierwszego roku i 3.000 zł w drugim roku. Do tego należy jeszcze dodatek za język, który jest raczej symboliczną rekompensatą finansową. Dwuletni okres przeznaczony jest na poznanie przez młodego pracownika różnego rodzaju mechanizmów i dokumentów w dziedzinach: walutowym, dokumentacji, ekonomii transportu czy ubezpieczeń. Centrala kładzie nacisk także na inteligencję młodych pracowników i rozwija u nich szacunek do pracy.

Po tej pierwszej fazie młodzi handlowcy przechodzą do pracy w konkretnych komórkach handlowych (działy handlowe i branżowe).

Dyrekcja zakłada, że po przeprowadzeniu pięciu lat w przedsiębiorstwie otwiera się przed młodym pracownikiem wiele perspektyw. Oprócz praktyki odbywanych na targach, lub u zagranicznych agentów, może być on także jednym z kandydatów delegowanych na placówkę zagraniczną (30 osób w skali rocznej). Młodzi pracownicy trafiają na placówki najczęściej do spółek zagranicznych, starsi natomiast, z większym bagażem doświadczeń do zagranicznych biur radców handlowych.

Podział na handel wewnętrzny i zagraniczny wynika w dużej mierze ze specyficznych warunków zawierania zagranicznych kontaktów handlowych przez nasze przedsiębiorstwa. Handlowiec czy to na rynku wewnętrznym, czy zagranicznym powinien się charakteryzować tymi samymi przymiotami z tą jedną różnicą, że od tego drugiego wymaga się dodatkowej operatywnej znajomości języków obcych. Dla wielu absolwentów handlu zagranicznego szczególnie dziewcząt, praca w centrali oznacza głównie pracę typowo biurową, plus kontakty z przyjeżdżającymi klientami. Pisanie korespondencji handlowej czy wysyłanie telexów u nas na-

leżące do zajęć absolwentów handlu zagranicznego są pracami, które np. we Francji wykonywane są przez specjalistycznie wyszkolone sekretarki po dwuletnim przygotowaniu pomaturalnym.

Feminizacja zawodu handlowca jest uznawana generalnie za zjawisko niekorzystne. Kobiety stanowią np. 70 procent personelu zatrudnionego w TEXTILIMPEXIE. Liczba ta nabiera jeszcze większego znaczenia, jeśli się weźmie pod uwagę, że mężczyźni w sporę część pracują w swojej wieloletniej praktyce na naszym własnym podwórku potrafili wykażać się określonymi zdolnościami i przedsiębiorczością.

6.

Obok fascynacji wynikającej ze stereotypów nie należy zapominać, iż handel zagraniczny stwarza dla młodzieży najbardziej zdolnej realną perspektywę szanse. Przyszła praca w tej dziedzinie pod warunkiem, że będzie wykonywana z pasją, może okazać się przyciągająca w dobrym tego słowa znaczeniu. Jesteśmy krajem otwartym, prowadzącym politykę zagraniczną opartą o zasady pokojowego współistnienia oraz hasła szeroko pojętej współpracy międzynarodowej. Handel zagraniczny jest elementem kluczowym owej polityki. W ujęciu perspektywicznym kierunek ten będzie kontynuowany i rozszerzany. Spora część kandydatów nawiązywała mniej lub bardziej świadomie do perspektyw związanych z ewolucją współpracy międzynarodowej i wzrostem roli handlu zagranicznego.

Chęć dynamizacji naszego eksportu i wymiany międzynarodowej wymaga twórczej i aktywnej postawy zarówno ze strony młodych ludzi wybierających ten kierunek, jak i przede wszystkim ze strony samego handlu i uczelni, która formuje przyszłe kadry dla gospodarki narodowej. Autentyczny zapał i energia niektórych młodych ludzi nie powinny ulec zaprzeczeniu. Ważne jest aby przyszła praca nie stała się powodem rozczarowań i braku satysfakcji. Perspektywa szansy istnieje na pewno, należy ją tylko wykorzystywać. Marząco studia jak i przyszła praca muszą być wybrane właśnie pod kątem zainteresowań. W wieku 18 lat nie zawsze są one w pełni krystalizowane. Niepokojący jest również fakt, iż pasje stały się dzisiaj, w odróżnieniu od niejakoś i letniości towarem deficytowym.

ANKA: — Kobiety były na ogół sympatyczne, miłe, zdarzały się takie, które ochrzaniały swoich mężów za to, że nie chciały się zgodzić na mycie szczyb, albo że nie płacił. Ale były i takie, którym mężowie zwracali uwagę, że się wtrącają. Kiedyś podjechał do samochodu i już zamazał szczybę wodą, maż płacił w tym czasie za benzynę, a ona się wychyliła i mówi, że nie trzeba. On to zauważył i pyta „dlaczego? Przecież pani zaczęła, niech umyje, taki brudny samochód”. Ona nie się nie odezwała. On zapłacił za benzynę, wsiadł do samochodu i słyszał jak na siebie krzyczą.

WIESKA: — Kobieta się denerwuje, jak facet wysiada i mówi „Och! Takie piękne panie mają mi samochód!” Ona zwykle ma taką minę, jakby sama miała wyskoczyć i umyć samochód. Albo jak się może czuć taka kobieta w samochodzie, kiedy maś nadeje taka tekst: „Ach, jaki ten samochód będzie wypyszony, jak ja zaszoruję temu samochodowi. Szkoda, że nie jestem na jego miejscu!”. A znowu szybko odwręca, ucho wystawia, żeby słyszeć, co on mówi. Znakomita zabawa!

ANKA: — Kiedy przychodziłam na stację i pomyślałam, że mam w perspektywie te siedem, osiem godzin, to już czułam zmęczenie, i gdzieś tak, czwartka, piąta, do szóstej to byłam taka psychicznie zmęczona, że wydawało mi się, że nie poduję do żużlowego samochodu. Już mi i na torcie nie zależało i na niczym. Później otwornie, wieczorem, to był ponowny zryw do pracy, a o osmie, to już było fizyczne zmęczenie. Forsa też dobiegowała bo w końcu zrezygnowałam z wakacji i po to tam siedziałam.

Tomek: — Najdłużej pracowałem 18 godzin, ale zwykle to siedem, osiem. Kupowałem sobie ciwarkę czubata, serek topiony, zjadalem to o czwartej, no i wracałem do domu około 22.

Anka: — Po jakimś czasie wszystkim stało się podobne, ludzie, samochody, rozmowy. Przez pierwszy dzień obserwowałam kierowców, zwracałam na nich uwagę, ale następnego dnia to były takie, że tylko patrzyłam, czy szczyb są brudne i żeby zdążyć je umyć. Kierowca już zupełnie nie istniał. Nawet, jak mi dawał forszę, to nigdy nie patrzyłam na niego. On mi dawał do ręki, ja odchodziłam i nawet nie wiedziałam jak wyglądał...

WIESKA: — Mężczyźni na ogół są chwytni, że dwie młode dziewczyny ięc im umyć szczyb. Nieraz wotaja nas nawet, jak szczyb są zupełnie czyste. Raz przyjechał taki starszy pan i mówi: „O, szesnastoletnia panienki i już pracują!” To ja sobie myślałam, sympatyczny facet! To mu szczybki gratis umyję!

Jak kierowca odmawiał i mówił „dziękuję”, to on zawsze: „Co pan samochód umyję! Pojedziesz pan ładnym samochodem, co będziesz pan dziękować?! Myj Małgośka panu samochód gratis!” Bo on Małgośka na mnie mówił.

Tomek: — Któregoś dnia przyjechał facet na stację i zapytał, czy mogę mu nalać paliwa. Na co ja mu mówię, że nie, że nam nie wolno. On był z dzieckiem i to dziecko, takie nieduże, pyta, dlaczego ten pan nie może nam nalać paliwa? Na co tataś odpowiada: Bo ten pan jeszcze studiuje!

WIESKA: — Mężczyźni na ogół są chwytni, że dwie młode dziewczyny ięc im umyć szczyb. Nieraz wotaja nas nawet, jak szczyb są zupełnie czyste. Raz przyjechał taki starszy pan i mówi: „O, szesnastoletnia panienki i już pracują!” To ja sobie myślałam, sympatyczny facet! To mu szczybki gratis umyję!

TOMASZ DOMAŃSKI

# STACJA BENZYNOWA CZYLI WYKŁAD Z ŻYCIA

Dalszy ciąg ze str. 1

koło przez białą, że szyb nie dało się już doczyścić, bo były zmatowiałe i porysowane, ale nie, czyściłem szczyb, rozmawiałem z nim...

Druga metoda to wypuszczanie kierowców na kompresor. Tu było kilka możliwości. Chodziło się wokół samochodu oglądającego go ze wszystkich stron. I albo kierowca sam się zorientował, wtedy mówię: „Pan ma chyba za mało powietrza” — albo jak był przy ruchu i nie miałem czasu, pochyliłem od razu i mówię: „Anka, wcale nie proponowałem, że mu sprawdzę, albo coś takiego. Czekałem. On się wtedy pytał z rezygnacją, czy na stacji jest kompresor. Mówiłem: „Tak jest; pan tam podjedźcie, to pomogę”. Cztery kółka to jest 10 zł po 2,50 od kółka. Teraz płaci się 1,50, ale braliśmy po starej cenie, bo ta nowa była napisana na cenniku mazakiem i zbladła, mieliśmy kłopot na słoneczną stronę. Z rezygnacją radziłem jeszcze kierowcy uzupełnić powietrze w kwasowym kole. Dlatego, że jest to koszt 12,50, a on mi wtedy dawał zwykle 15, albo 20 zł. Mówiłem, że nie mam reszty i szedłem do kiosku rozmielić. Schodził mi z tym jakiegoś pięć minut, a on w tym czasie z rezygnacją szedł już i odszedł. Albo mu wydawałem takim i pięćdziesięciogroszówkami, że sam rezygnował.

Kompresor był za krzakami, tak, że go ze stacji nie było widać. Kierowcy najczęściej pompowali sami i odjeżdżali nie płacąc. Przy kompresorze była rączka, która się zaczęła i mógł go obsłużyć jeden człowiek. Ale ci ze stacji urwali rączkę i potrzeba było dwóch ludzi do pompowania. Za to nikt nie mógł uciec nie płacąc.

WIESKA: — Samochody trzeba było sprzątnąć i szybko, bo kierowca, który musiał stać i blokować dojazd innym był zdezerwowany i wkurzał go to, że dziewczyna grzebie się przy tej szybie. Ci z tyłu też go ochrzaniali, że nie robi wolnego miejsca. Następnym kierowca już nie chciał mycia, bo widział jaka była sytuacja z tamym poprzednim...

ANKA: — Kiedyś podjechał do samochodu, był bardzo brudny. Umyłam przednią szczybę, boznie i kończyłam tylną, wtedy kierowca wsiadł do samochodu, nacisnął na sprzęgło i odjechał. A ja pochylona nad szybą, tak mocno ją tarta...

Tomek: — Najwięcej zarobiłem

450 zł w ciągu jednego dnia. To była upalna sobota, ludzie wyjeżdżali za miasto. Najmniej, to było 40 zł. Bez przerwy padało tego dnia i te 40 zł zarobiłem z kompresora. Jak jest deszcz, to można przecierać tylnie i przednie światła z błota. Z tym, że to jest nieprzyjemne, trzeba chodzić z wiaderkiem i byłem wtedy cały mokry. 60 zł, to największa suma jednorazowa. Kiedyś podjechał kierowca i prosił mnie żebym mu umył samochód. No i zaczęłam się brać do tego samochodu, jak pies do jeża, trochę dlatego, że pierwszy raz myłem samochód, a trochę dlatego, że mi się nie bardzo spieszyło. W końcu facet nie wytrzymał i pokazuje mi jak należy myć. Umył w ten sposób cały samochód, a ja wzięłam 60 zł.

ANKA: — Często nam się zdarzało pięćdziesiąt, bardzo często czterdzieści złotych. Wtedy dawali zwykle do ręki, a mnie do kieszeni. Lepiej było mieć kieszeń, bo kierowcy pytali ja: „A gdzie pani ma kieszeń?”

Pierwszego dnia miałam taki numer: dali mi strój, ten CPN-owski na mężczyznę metr dziewięćdziesiąt. Oni mają kieszonki z przodu, ale jak ja włożyłam bluzę, spodnie i okryłam to wszystkim pakietem to kieszonki wyszły mi na pupie! I taki starszy pan pyta mnie, gdzie pani ma kieszonkę? Ja mówię: Chyba tu, z tyłu! — i pokazuje. On mi wrzucił monetę i mówi: „Wie pani co? Ja sobie jeszcze kłopoty!” A mnie już było tak wszystko jedno, więc powiedziałam: A kłopoty panu sobie!

Tomek: — Niedaleko była prywatna ciastkarnia. Jej właścicielka miała samochód i jeździła do nas po paliwo. No i jednego dnia umyłem jej szczyb — zapłaciła dwie dychy. Następnego dnia przyjechała znowu — też umyłem i dostałem dychę. Za jakiś czas była znowu, ale zanim podjechała do stacji umyła przed ciastkarnią dokładnie wszystkie szczyby sama! Oczywiście tak ostentacyjnie, żebym mógł to widzieć.

Anka: — Z początku, jak miałam podejść do samochodu, to musiałam sobie powiedzieć: „Anka, ruszaj do przodu!”. Ten, co nalewał benzynę kazał mi tak właśnie postępować. Mówił: „Anka, atakuj, jak tygrysić!” Kiedyś patrzyłam, nadjeżdża „fiat”, więc ja podskoczyłam, uśmiech promienny i do samochodu. Wywijam szmatą, podśpiewuję sobie, podnoszę wycieraczki. Nagle patrzę w samochód gdzie grabowy nastrój. Kierowca do mnie marsowa minę zrobił. Myślę, co jest? Więc jeszcze większy uśmiech. Ale patrzę, że on mi daje znaki do tyłu. Oglądam się, a oni widać konająca staruszka, taką straszna na twarzy... W tym momencie nie wiedziałam, co zrobić! Czy powiedzieć facetowi, że składam mu kondoleniec? Ale przecież ona żyje! Więc jeszcze większa gafa! Czy przeprosić...? Tego dnia już nie chciało mi się więcej uśmiechać...

WIESKA: — Anka ciągle coś psuła. Jakies srubki urywała, albo wycieraczka jej w ręku została, albo taka sprząkna szczyba z przodu. A kierowca spojnął na nią zwykłe takim wzrokiem niepewnym... Kiedyś podjechał czworoosobowy samochód, nie pamiętam już, jaka to była marka, pucowaliśmy, pucowaliśmy, skończyliśmy, facet zapłacił, a Anka mówi: „Stuchaj ja ide do kantorka”. Co się stało? — „Oczywiście”. „Bo ja mu coś zepsułam, ale jeszcze nie wiem co! Powiedz mi, jak powiedzieć?”

To ja mówię: — „Odjechał”. Patrzę też Anka, czegoś szuka. „Mam! Mam! Srubkę! Urwałam srubkę! Sehowam, może przyjedzie po nią”. Bo ona jak szoruje, to na nie nie patrzy, mało ręki do srodka nie wyciągnie przez szybę!

Tomek: — Najwięcej zarobiłem

450 zł w ciągu jednego dnia. To była upalna sobota, ludzie wyjeżdżali za miasto. Najmniej, to było 40 zł. Bez przerwy padało tego dnia i te 40 zł zarobiłem z kompresora. Jak jest deszcz, to można przecierać tylnie i przednie światła z błota. Z tym, że to jest nieprzyjemne, trzeba chodzić z wiaderkiem i byłem wtedy cały mokry. 60 zł, to największa suma jednorazowa. Kiedyś podjechał kierowca i prosił mnie żebym mu umył samochód. No i zaczęłam się brać do tego samochodu, jak pies do jeża, trochę dlatego, że pierwszy raz myłem samochód, a trochę dlatego, że mi się nie bardzo spieszyło. W końcu facet nie wytrzymał i pokazuje mi jak należy myć. Umył w ten sposób cały samochód, a ja wzięłam 60 zł.

ANKA: — Często nam się zdarzało pięćdziesiąt, bardzo często czterdzieści złotych. Wtedy dawali zwykle do ręki, a mnie do kieszeni. Lepiej było mieć kieszeń, bo kierowcy pytali ja: „A gdzie pani ma kieszeń?”

Pierwszego dnia miałam taki numer: dali mi strój, ten CPN-owski na mężczyznę metr dziewięćdziesiąt. Oni mają kieszonki z przodu, ale jak ja włożyłam bluzę, spodnie i okryłam to wszystkim pakietem to kieszonki wyszły mi na pupie! I taki starszy pan pyta mnie, gdzie pani ma kieszonkę? Ja mówię: Chyba tu, z tyłu! — i pokazuje. On mi wrzucił monetę i mówi: „Wie pani co? Ja sobie jeszcze kłopoty!” A mnie już było tak wszystko jedno, więc powiedziałam: A kłopoty panu sobie!

Tomek: — Niedaleko była prywatna ciastkarnia. Jej właścicielka miała samochód i jeździła do nas po paliwo. No i jednego dnia umyłem jej szczyb — zapłaciła dwie dychy. Następnego dnia przyjechała znowu — też umyłem i dostałem dychę. Za jakiś czas była znowu, ale zanim podjechała do stacji umyła przed ciastkarnią dokładnie wszystkie szczyby sama! Oczywiście tak ostentacyjnie, żebym mógł to widzieć.

Anka: — Z początku, jak miałam podejść do samochodu, to musiałam sobie powiedzieć: „Anka, ruszaj do przodu!”. Ten, co nalewał benzynę kazał mi tak właśnie postępować. Mówił: „Anka, atakuj, jak tygrysić!” Kiedyś patrzyłam, nadjeżdża „fiat”, więc ja podskoczyłam, uśmiech promienny i do samochodu. Wywijam szmatą, podśpiewuję sobie, podnoszę wycieraczki. Nagle patrzę w samochód gdzie grabowy nastrój. Kierowca do mnie marsowa minę zrobił. Myślę, co jest? Więc jeszcze większy uśmiech. Ale patrzę, że on mi daje znaki do tyłu. Oglądam się, a oni widać konająca staruszka, taką straszna na twarzy... W tym momencie nie wiedziałam, co zrobić! Czy powiedzieć facetowi, że składam mu kondoleniec? Ale przecież ona żyje! Więc jeszcze większa gafa! Czy przeprosić...? Tego dnia już nie chciało mi się więcej uśmiechać...

WIESKA: — Anka ciągle coś psuła. Jakies srubki urywała, albo wycieraczka jej w ręku została, albo taka sprząkna szczyba z przodu. A kierowca spojnął na nią zwykłe takim wzrokiem niepewnym... Kiedyś podjechał czworoosobowy samochód, nie pamiętam już, jaka to była marka, pucowaliśmy, pucowaliśmy, skończyliśmy, facet zapłacił, a Anka mówi: „Stuchaj ja ide do kantorka”. Co się stało? — „Oczywiście”. „Bo ja mu coś zepsułam, ale jeszcze nie wiem co! Powiedz mi, jak powiedzieć?”

To ja mówię: — „Odjechał”. Patrzę też Anka, czegoś szuka. „Mam! Mam! Srubkę! Urwałam srubkę! Sehowam, może przyjedzie po nią”. Bo ona jak szoruje, to na nie nie patrzy, mało ręki do srodka nie wyciągnie przez szybę!

Tomek: — Najwięcej zarobiłem

450 zł w ciągu jednego dnia. To była upalna sobota, ludzie wyjeżdżali za miasto. Najmniej, to było 40 zł. Bez przerwy padało tego dnia i te 40 zł zarobiłem z kompresora. Jak jest deszcz, to można przecierać tylnie i przednie światła z błota. Z tym, że to jest nieprzyjemne, trzeba chodzić z wiaderkiem i byłem wtedy cały mokry. 60 zł, to największa suma jednorazowa. Kiedyś podjechał kierowca i prosił mnie żebym mu umył samochód. No i zaczęłam się brać do tego samochodu, jak pies do jeża, trochę dlatego, że pierwszy raz myłem samochód, a trochę dlatego, że mi się nie bardzo spieszyło. W końcu facet nie wytrzymał i pokazuje mi jak należy myć. Umył w ten sposób cały samochód, a ja wzięłam 60 zł.

ANKA: — Często nam się zdarzało pięćdziesiąt, bardzo często czterdzieści złotych. Wtedy dawali zwykle do ręki, a mnie do kieszeni. Lepiej było mieć kieszeń, bo kierowcy pytali ja: „A gdzie pani ma kieszeń?”

Pierwszego dnia miałam taki numer: dali mi strój, ten CPN-owski na mężczyznę metr dziewięćdziesiąt. Oni mają kieszonki z przodu, ale jak ja włożyłam bluzę, spodnie i okryłam to wszystkim pakietem to kieszonki wyszły mi na pupie! I taki starszy pan pyta mnie, gdzie pani ma kieszonkę? Ja mówię: Chyba tu, z tyłu! — i pokazuje. On mi wrzucił monetę i mówi: „Wie pani co? Ja sobie jeszcze kłopoty!” A mnie już było tak wszystko jedno, więc powiedziałam: A kłopoty panu sobie!

Tomek: — Niedaleko była prywatna ciastkarnia. Jej właścicielka miała samochód i jeździła do nas po paliwo. No i jednego dnia umyłem jej szczyb — zapłaciła dwie dychy. Następnego dnia przyjechała znowu — też umyłem i dostałem dychę. Za jakiś czas była znowu, ale zanim podjechała do stacji umyła przed ciastkarnią dokładnie wszystkie szczyby sama! Oczywiście tak ostentacyjnie, żebym mógł to widzieć.

Anka: — Z początku, jak miałam podejść do samochodu, to musiałam sobie powiedzieć: „Anka, ruszaj do przodu!”. Ten, co nalewał benzynę kazał mi tak właśnie postępować. Mówił: „Anka, atakuj, jak tygrysić!” Kiedyś patrzyłam, nadjeżdża „fiat”, więc ja podskoczyłam, uśmiech promienny i do samochodu. Wywijam szmatą, podśpiewuję sobie, podnoszę wycieraczki. Nagle patrzę w samochód gdzie grabowy nastrój. Kierowca do mnie marsowa minę zrobił. Myślę, co jest? Więc jeszcze większy uśmiech. Ale patrzę, że on mi daje znaki do tyłu. Oglądam się, a oni widać konająca staruszka, taką straszna na twarzy... W tym momencie nie wiedziałam, co zrobić! Czy powiedzieć facetowi, że składam mu kondoleniec? Ale przecież ona żyje! Więc jeszcze większa gafa! Czy przeprosić...? Tego dnia już nie chciało mi się więcej uśmiechać...

WIESKA: — Anka ciągle coś psuła. Jakies srubki urywała, albo wycieraczka jej w ręku została, albo taka sprząkna szczyba z przodu. A kierowca spojnął na nią zwykłe takim wzrokiem niepewnym... Kiedyś podjechał czworoosobowy samochód, nie pamiętam już, jaka to była marka, pucowaliśmy, pucowaliśmy, skończyliśmy, facet zapłacił, a Anka mówi: „Stuchaj ja ide do kantorka”. Co się stało? — „Oczywiście”. „Bo ja mu coś zepsułam, ale jeszcze nie wiem co! Powiedz mi, jak powiedzieć?”

To ja mówię: — „Odjechał”. Patrzę też Anka, czegoś szuka. „Mam! Mam! Srubkę! Urwałam srubkę! Sehowam, może przyjedzie po nią”. Bo ona jak szoruje, to na nie nie patrzy, mało ręki do srodka nie wyciągnie przez szybę!

Tomek: — Najwięcej zarobiłem

450 zł w ciągu jednego dnia. To była upalna sobota, ludzie wyjeżdżali za miasto. Najmniej, to było 40 zł. Bez przerwy padało tego dnia i te 40 zł zarobiłem z kompresora. Jak jest deszcz, to można przecierać tylnie i przednie światła z błota. Z tym, że to jest nieprzyjemne, trzeba chodzić z wiaderkiem i byłem wtedy cały mokry. 60 zł, to największa suma jednorazowa. Kiedyś podjechał kierowca i prosił mnie żebym mu umył samochód. No i zaczęłam się brać do tego samochodu, jak pies do jeża, trochę dlatego, że pierwszy raz myłem samochód, a trochę dlatego, że mi się nie bardzo spieszyło. W końcu facet nie wytrzymał i pokazuje mi jak należy myć. Umył w ten sposób cały samochód, a ja wzięłam 60 zł.

ANKA: — Często nam się zdarzało pięćdziesiąt, bardzo często czterdzieści złotych. Wtedy dawali zwykle do ręki, a mnie do kieszeni. Lepiej było mieć kieszeń, bo kierowcy pytali ja: „A gdzie pani ma kieszeń?”

Pierwszego dnia miałam taki numer: dali mi strój, ten CPN-owski na mężczyznę metr dziewięćdziesiąt. Oni mają kieszonki z przodu, ale jak ja włożyłam bluzę, spodnie i okryłam to wszystkim pakietem to kieszonki wyszły mi na pupie! I taki starszy pan pyta mnie, gdzie pani ma kieszonkę? Ja mówię: Chyba tu, z tyłu! — i pokazuje. On mi wrzucił monetę i mówi: „Wie pani co? Ja sobie jeszcze kłopoty!” A mnie już było tak wszystko jedno, więc powiedziałam: A kłopoty panu sobie!

Tomek: — Niedaleko była prywatna ciastkarnia. Jej właścicielka miała samochód i jeździła do nas po paliwo. No i jednego dnia umyłem jej szczyb — zapłaciła dwie dychy. Następnego dnia przyjechała znowu — też umyłem i dostałem dychę. Za jakiś czas była znowu, ale zanim podjechała do stacji umyła przed ciastkarnią dokładnie wszystkie szczyby sama! Oczywiście tak ostentacyjnie, żebym mógł to widzieć.

Anka: — Z początku, jak miałam podejść do samochodu, to musiałam sobie powiedzieć: „Anka, ruszaj do przodu!”. Ten, co nalewał benzynę kazał mi tak właśnie postępować. Mówił: „Anka, atakuj, jak tygrysić!” Kiedyś patrzyłam, nadjeżdża „fiat”, więc ja podskoczyłam, uśmiech promienny i do samochodu. Wywijam szmatą, podśpiewuję sobie, podnoszę wycieraczki. Nagle patrzę w samochód gdzie grabowy nastrój. Kierowca do mnie marsowa minę zrobił. Myślę, co jest? Więc jeszcze większy uśmiech. Ale patrzę, że on mi daje znaki do tyłu. Oglądam się, a oni widać konająca staruszka, taką straszna na twarzy... W tym momencie nie wiedziałam, co zrobić! Czy powiedzieć facetowi, że składam mu kondoleniec? Ale przecież ona żyje! Więc jeszcze większa gafa! Czy przeprosić...? Tego dnia już nie chciało mi się więcej uśmiechać...

WIESKA: — Anka ciągle coś psuła. Jakies srubki urywała, albo wycieraczka jej w ręku została, albo taka sprząkna szczyba z przodu. A kierowca spojnął na nią zwykłe takim wzrokiem niepewnym... Kiedyś podjechał czworoosobowy samochód, nie pamiętam już, jaka to była marka, pucowaliśmy, pucowaliśmy, skończyliśmy, facet zapłacił, a Anka mówi: „Stuchaj ja ide do kantorka”. Co się stało? — „Oczywiście”. „Bo ja mu coś zepsułam, ale jeszcze nie wiem co! Powiedz mi, jak powiedzieć?”

To ja mówię: — „Odjechał”. Patrzę też Anka, czegoś szuka. „Mam! Mam! Srubkę! Urwałam srubkę! Sehowam, może przyjedzie po nią”. Bo ona jak szoruje, to na nie nie patrzy, mało ręki do srodka nie wyciągnie przez szybę!

Tomek: — Najwięcej zarobiłem

450 zł w ciągu jednego dnia. To była upalna sobota, ludzie wyjeżdżali za miasto. Najmniej, to było



Dalszy ciąg ze str. 1

## WIELKA GRA (II)

iem z 290 ha, w tym jęczmieniem z 232 ha i pszenicą z 28 ha — sprzątnięto... — I dalej chodzą kombajny — powiada inż. Kowalski. — Dzisiaj 6 nasyżych „Bizonów” musi skosić po 7 hektarów, głównie jęczmienia. Wieczorem 42 hektary muszą być czyste.

A ma rogowski zespół PGR w sumie 1.595 hektarów ziemi ornej i — jak tu powiada — jest na czym robić i maszyny psuć... Tego dnia główne siły koncentrowały się na koszeniu jęczmienia jarego, ale jednocześnie zbierano słomę, prowadzono wapnowanie i nawożenie, robiono podorywki po rzepak (200 ha). Termin siania poplonów zbliżał się wielkimi krokami, a jeszcze stało zboże na kwalifikaty: w najbliższy czwartek zamierzano już jednak wejść czterema kombajnami w żyto, a nieco później w jęczmień i pszenicę. Byle tylko dopisał jeden podstawowy warunek: pogoda...

Nieomal wszystko, o czym teoretycznie mówił inż. Eugeniusz Kowalski, mogliśmy jeszcze tego samego dnia zobaczyć w polu, w akcji.

Kilometr za Rogowem, a jeszcze przed Jeżowem, po lewej stronie od szosy, ponad 40-hektarowe pole należące do jednego z czterech zakładów rogowskiego zespołu gospodarstw — zakładu PGR w Rogowie objęły dwa kombajny. W tym samym czasie inne „Bizony” pracowały w zakładach w Malczewie, gdzie zresztą osobiście doglądał sprzętu zół inż. Stanisław Godziak — dyrektor zespołowego PGR w Rogowie, a towarzyszył mu jego zastępca i zarazem kierownik produkcyjnego zakładu PGR w Kolacinie Waclaw Kotarski.

A na polu pod Rogowem spotykam kierownika tutejszego zakładu — Henryka Szymkowskiego. Nadzoruje on właśnie koszenie jęczmienia odmiany „Aramir”.

Dojrzałość fizjologiczna i zbiorcza jęczmienia jest prawidłowa — mówi H. Szymkowski. — Także wilgotność zboża zadowala, nie przekracza 17 procent.

Rogowski zakład kończy już zbiór jęczmienia. Było go wokół Rogowa 101 hektarów...

Zostało jeszcze około 35 ha, koszenie zamierzamy jutro skończyć. Jeżeli pogoda się utrzyma, ta reszka nie sprawi kombajnistom trudności — zapewnia kierownik Szymkowski. — Dzisiaj warunki są bardzo dobre, słoma sucha. — Szymkowski schyla się i rozgarnia skoszone zboże — każdy kłosek — mówi — do dotu wisi, oznacza to, że jęczmień dojrzały...

Ale ten piękny jęczmień nie rośnie wcale na jakiejś znakomitej ziemi! W Rogowie przeważają grunty IV, V i VI klasy... Gleby słabe, a plony wysokie: inżynier Kowalski przewiduje, że w porównaniu z 36 kwintalami z ha w zeszłym roku, tegoroczne plony będą o jakieś 6 kwintali wyższe i to zarówno żyta, jęczmienia, jak i części pszenicy. Tajemnica wysokich plonów tkwi w odpowiednim poziomie nawożenia, dostosowanym do wymagań roślin i warunków.

Zbliża się południe, na polu pod Rogowem kombajn Józefa Kazimierczaka od ósmej rano skosił cztery hektary.

Jak długo będzie kosić? — pytam. — Dotąd, dokąd się tylko da — odpowiada kombajnista — czyli pewnie do dwudziestej, bo potem już rośba...

To wydajny, sprawny kombajnista, jeździ bez awarii — chwali kierownik, gdy Kazimierczak wraca na kombajn, a powietrze znów napęlnia się hukiem pracującego silnika. Z dala słychać nieprzerwanie motor drugiego „Bizona”: niedaleko stacji kolejowej, na terenie granicznym z nasypem, kosi kombajnista Czesław Brzeziński, a ziarno do magazynu odwozi traktorzysta Stanisław Banaś. Rytm pracy zdradza, że myśli się tu ekonomicznie, że jak najlepiej chce się wykorzystać pracę maszyn. W ciągu jednego „kółka” kombajnu po polu jego zbiornik napęlnia się całkowicie, a podczas gdy

jedna przyczepa napęlnia się ziarnem, druga — zawsze pełną — ciągnik odprowadza do PGR.

W naszych, peegerowskich silosach możemy odsuszyć ziarno o pięć procent. Tak więc nawet przy blisko dwudziestoprocentowej wilgotności możemy ziarno zwozić do magazynu — mówi kierownik Szymkowski, a w tym czasie do kombajnu Kazimierczaka podjeżdża na „Ursusie” Sylwester Pawlak, przepina przyczepę...

Pawlak na ciągniku pracuje dorywczo, bo właściwie zatrudniony jest jako elektryk w warsztacie PGR — wyjaśnia Szymkowski — ale co zrobić? — dodaje — spiętrzenie i liczy się każdy zdolny do pracy w polu.

Światłoko na szczycie kombajnu plonie już czerwonym blaskiem, znak, że półtoratonowy zbiornik pełen. Sygnalizacja żółta struga... Jeszcze jeden objazd „Bizona” i przyczepę wypełnioną trzema i pół tonami ziarna będzie można odprowadzić do oddalonego o półtora kilometra magazynu. — To już trzeci kurs dzisiaj — mówi traktorzysta...

Po drugiej stronie szosy inny obrazek: dwa ciągniki przygotowują bronami talerzowymi pole pod rzepak po skoszonej już koniczynie z trawą. Pole jest dwudziestotrzyhektarowe, ale spora już jego część zaorana czeka na siew.

Obserwując tempo pracy zaczynam podzielać przekonanie Szymkowskiego, że traktorzyści zdążą na czas przygotować pole.

Jeżdżą szybko, bo wtedy gleba lepiej się odwraca — tłumaczy Szymkowski. Jeden z pracujących — Kazimierz Marciniak, z zawodu zresztą stelmach w rogowskim warsztacie

PGR — komunikuje krótko: — Bronujemy od siódmej rano. Na razie bez awarii.

Szczęśliwie — powiedzmy sobie — bo w razie, cięższych awarii z niektórymi częściami zamiennymi, także do ciągników — jest krucho... Brakuje i to od dłuższego czasu pomp do paliwa i końcówek wtryskiwaaczy. Nawet dobry POM w Bogdanie — opiekun sprzętu rogowskiego PGR — nie poradzi, gdy nie ma w magazynach nowych części...

Trzecią część załogi PGR w Rogowie spotkałem tego dnia na polu za torem przy stertowaniu słomy z wcześniej wymłóconego jęczmienia. Stertowanie to czynność ważna, bo ta słoma służyć będzie przez cały następny rok, może nawet do kolejnych żniw, jako ściółka dla zwierząt i zakładka do paszy. 350 sztuk bydła, a wśród nich 105 krów z hodowli PGR w Rogowie musi mieć co jeść...

Sprawa to zresztą wspólna całego zespołu PGR, w którego wielokierunkowym gospodarstwie ferma młodego bydła opasowego, licząca obecnie 1.248 sztuk, zajmuje istotne miejsce. Powierzchnia paszowa sięga w tej chwili 40 procent całego arealu, a tegoroczny plan winuje ilość bydła do 2.600, a trzody chlewnej do 1.000 sztuk!

Musimy sami produkować paszę, aby cały ten inwentarz wyżywić — tłumaczył mi inż. Kowalski. — Ziemi, mimo że w zeszłym roku przejeżdżałem 60 ha, a w tym roku w planie przejeżdża jest 50—130 ha, mamy ciągle za mało. Brakuje jej zwłaszcza pod zielonki w zakładzie w Byszewach. Dlatego liczymy na grunty, które w przyszłym roku może przekazać nam gmina, choć w pierwszym okresie nie będzie tam rzecz jasna

możliwości intensywnej gospodarki. Trzeba będzie najpierw doprowadzić do porządku przejęte grunty, na ogół wyjąłowane i zdewastowane, często kamieniste...

Koszenie, bronowanie pod siew poplonów, stertowanie słomy — trzy etapy, ważne, ale nie wyczerpujące całego obrazu żniw. Co się dzieje z rogowskim ziarnem, gdy z pól zwiozą je ciągniki?

Magazyn PGR jest w stanie wysuszyć i przechować tylko małą część ziarna. A ponieważ rogowskich kwalifikatów nie jest w stanie przyjąć również koluszkowska Centrala Nasienna, wozik będą je ciągniki aż do Rawy. Dlaczego?

Przestrzega się po prostu dobrosiedzielskiej zasady, że silniejsi, ci którzy mają dużo sprzętu (ciągników i własnych suszarni), jak właśnie PGR w Rogowie, ustąpią miejsca w kolejce do pobliskiej Centrali Nasiennej tym, którzy techniczne uzbrojenie mają słabsze. A wiele jest w Skierniewickim młodych, rozwijających się dopiero gospodarstw: indywidualnych, SKR-owskich, spółdzielczych.

Słowem, czeka rogowskie ciągniki wydłużona jazda z ziarnem. Będą musiały nadłożyć drogi, a to wszystko, zdaniem inżyniera Kowalskiego, opóźni transport ziarna, bo do Rawy ciągnik będzie mógł dziennie zrobić tylko jeden kurs. A może ktoś z kolei mógłby pomóc rogowskiemu PGR?

Kłopoty te zaczynają się jednak dopiero ze zwózką kwalifikatów. Na razie na przykład zakład PGR w Rogowie uporał się z transportem ziarna do niedalekiego elewatora.

To jeden z dwóch wielkich elewatorów w województwie. Podlega Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu Przemysłu Zbożowo-Młynarskiego w Skierniewicach, z siedzibą w Szymanowie. Jak ważny to punkt w żniwnym cyklu, mówi kierownik elewatora zbożowego nr 14 Bogdan Marciniak:

— Nie sztuka tylko zebrać, trzeba również umiejętnie zagospodarować ziarno. I to jest między innymi nasze zadanie. Ziarno trzeba wysuszyć, oczyścić, posortować, przygotować do dalszej produkcji: na mąki, płatki (owies), tłuszcze (rzepak), piwo, śrut i kaszę (jęczmień), na różne gatunki pasz...

Rogowski elewator skupuje ziarno z trzech województw: skierniewickiego, miejskiego łódzkiego i plotrowskiego, a także przechowuje ziarno z importu i prowadzi redystrybucję nadwyżek ziarna do innych elewatorów.

Choć skup trwa właściwie cały rok, od żniw do żniw, w połowie sierpnia w pracy elewatora następuje szczyt. W tym okresie 1978 roku skupuje on 600 ton ziarna na dobę, tj. o około 100 ton więcej niż w roku ubiegłym.

Najwięcej pracy ma suszarnia — mówi B. Marciniak — bo praktycznie całe tegoroczne ziarno wymaga suszenia. Przeciętna wilgotność wynosi 24 procent, choć i 30 procent nie jest rzadkością... By jednak ziarno nadawało się do składowania, wilgotność nie może przekraczać 14 procent.

Silniki wszystkich urządzeń pracują więc na pełnych obrotach, a przy obciążeniu elewatora wynoszącym 570 kilowatów nie dziwią awarie urządzeń...

Bieda jednak z częściami zamiennymi, brak oleju — hydrołu do importowanych wywrotnic, a co gorsza zdarza się, że bez uprzedzenia zakład energetyczny wyłącza nam prąd — swoimi smartwieniami dzieli się ze mną zastępca kierownika do spraw technicznych Piotr Guzek. — Wyłączenie prądu zaś to unieruchomienie wszystkich urządzeń, a jest ich u nas coraz więcej. Aby sprostać nowym zadaniom musimy bowiem wciąż mechanizować pracę... Dziennie skupujemy 600 ton ziarna, to jest 130 pełnych samochodów i ciągników. Kiedy wyłączy się nam prąd na osiem godzin, połowa wozów stoi bezczynnie i czeka. Straty są poważne, bo już nie sposób dziś w pełni zastąpić pracę urządzeń pracą rąk... Zdajemy sobie sprawę z konieczności oszczędzania energii, ale z drugiej strony elewatory w czasie szczytu skupy powinny mieć chyba priorytet...

Po południu 15 sierpnia niebo wyglądało się, zabiły słońce. Nic dziwnego, że na drogach i polach województwa skierniewickiego panował gorączkowy ruch.

Napotkany na polu pod Brzezina-ami rolnik Czesław Sokolowski, gospodarujący ze szwagrem na ośmiu i pół hektarach, uzależniał pracę — jak wszyscy — od pogody. Następnego dnia — w środę 16 sierpnia — zamierzał wmlócić jęczmień na polu... Wierzył, że nie będzie padać. Sokolowskiemu, jednemu z licznej rzeszy dwuzawodowych, kończył się już jednak urlop. Nie zmarnował go, ale też chciał w przyszłym tygodniu skończyć już żniwa, razem ze zwózką i omlotami.

Jeszcze w środę 16 sierpnia słońce było łaskawe dla Sokolowskiego i wielu jemu podobnych, ale już czwartek wstał pochmurny i zanosilo się na potężny deszcz. Toteż 17 sierpnia — nie wiem doprawdy, czy kiedy w tydzień później będziecie je państwo czytać, Czesław Sokolowski odstawi już ostatnie ziarno do magazynu i złoży mundur strażaka...

TOMASZ SOLDENHOFF

Foto: W. Paryjs



Severim Duracan skończyła 24 lata. Wyjechała do pracy w „Bundesrepublik” z niewielkiej wioski w Anatolii. Do autobusu odprowadziła ją cała rodzina. W Stambule Severim wsiadła do samolotu. Wyładowała w Monachium. Z Monachium udała się pociągiem do Hamburga. Była zastraszona. Ciągłe brzmiały jej w uszach pełne przestrogi słowa teścia.

— Nie pozwalaj się, broń Boże całować, w Niemczech mężczyźni całują kobiety na ulicy.

Severim — pisze tygodnik „Die Zeit” — wprowadziła się do starego hamburskiego budynku. Mieszkały tu głównie cudzoziemki. Turczynki, Portugalki, Hiszpanki i Greczynki. Na każdym piętrze mieszkały 6 pokoi. W każdym pokoju mieszkały 4 kobiety. Każda z nich płaciła czynsz w wysokości 80 marek miesięcznie. W każdym z tych pokoi stała szafa, stół, cztery krzesła. Na ścianach nie wisiał żaden obraz. Były gołe. Po zapłaceniu czynszu, Severim otrzymała od właściciela domu jeden talerz, jedną szklankę, jedną łyżkę, jeden widelec i jeden nóż.

Severim wspomina: — Pracuję w fabryce konserw w Hamburgu-Altonie. Skrobie ryby takim długim nożem. Mam na sobie plastikowy fartuch. Noszę też grube rękawice. Wyciągam ryby z pojemników, w których pływają kawałki lodu. Rękawice trochę grzeją. Siedzę z innymi cudzoziemkami przy wąskim stole. I tak skrobie te ryby od 7 rano do 5 po południu. W Turcji mówiono mi, że będę przyklejać etykiety do konserw. Ale to robota tylko dla Niemców. Z Niemcami w ogóle nie rozmawiam. One jak tylko skończą pracę, zaraz idą do domów, do swoich mężów.

Kemal, mąż Severim, nadesłał list, w którym donosił:

— Dzieciom wiedzie się dobrze. Gurcan jest najlepszy w klasie. Wkrótce przyjeżdżam...

Kemal jednak nie przyjechał. W międzyczasie weszła w życie ustawa rządowa, mocą której werbunek cudzoziemskich robotników do „Bundesrepublik” został wstrzymany. Oficjalnie określono to zarządzeniem jako „Anwerbestopp”. Miesiące płynęły. Severim wciąż czekała. Jej brzydki dziadzia w fabryce konserw coraz częściej zastanawiał się dlaczego Severim nie nadaje za taśmą. W pracy odstawała. Coś z tym trzeba było zrobić. Wysłał Severim do lekarza. Ten zwołał Turczynkę na 4 tygodnie z pracy. Depresja. Zalamanie nerwowe. Severim przez pierwszy tydzień w ogóle nie mogła zasnąć. Wreszcie pomogły silne leki uspokajające.

Wreszcie Kemal przyjechał. Zjawił się w Hamburgu jako turysta. Młode małżeństwo wynajęło osobny pokój. Czynsz — 150 marek miesięcznie. Kemal nie mógł jednak pracować. Nie posiadał uprawnień zwanego „Arbeitslaubnis”. Kemal zrobił w Turcji maturę. Był wiejskim nauczycielem. Prowadził zajęcia w pięciu klasach. Uczył pisania, czytania, rachunków, uczył też swych 120 uczniów historii, geografii i religii. Po 3 miesiącach Kemal znalazł wreszcie upragniony „job” w warsztacie samochodowym. Myje teraz wozy. Jest w akordzie. Może zarobić nawet 1.200 marek w ciągu miesiąca.

W 1977 roku przybył do Hamburga Gurcan i Gołcan, synowie Duracana. Starszy syn, Gurcan, zaczął uczęszczać do „Volksschule” w Hamburgu-Altonie. Gołcan dostał się do przedszkola. Kemal oświadczył reporterowi tygodnika „Die Zeit”: — W Aschagi Barak Gurcan był najlepszy w klasie. W Hamburgu jest najgorszy. Nie ma odwagi spojrzeć tu nauczycielom w oczy. Gurcan wstydzi się... Tyle tygodnik, który podał suche fakty i na tym porządek. Od siebie dodać może, że Duracan mimo wszystko się powiodło.

Bo znam położenia „gastarbeiterów” w Bundesrepublik z innych też źródeł. Właśnie oficjalnych i urzędowych. Znam też z własnych doświadczeń, które porobiłem w Essen, Kolonii, Düsseldorfie i wielu też innych miastach Nadrenii i Westfalii. Znam te rzeczy. Widziałem. Rozmawiałem. Obserwowałem. A według tych oficjalnych statystyk największej „gastarbeiterów” liczy właśnie Nadrenia i Westfalia — 1.200.000. Bardzo dużo, jeśli się zważy, że w całej Bundesrepublik mniej jest obecnie niż 2 miliony. W ogóle ich odpływ jest dziś większy niż przyływ. Bo jeśli przybył jest to właśnie nielegalny, w tej „turystycznej” albo formie.

Znakomity pisarz szwajcarski Max Frisch powiedział niedawno: — Zaprosiliśmy „sily robotce”, przybyli do nas ludzie...

Otóż właśnie przybyli ludzie o ludzkich potrzebach i ludzkich aspiracjach. I wywnosił się problem w wielu wypadkach nie do rozwiązania. Problem nie tylko „Bundesrepublik”, ale też Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Francji, w pewnej mierze Holandii i Belgii. Niedzie jednak ten problem nie jest tak poplątany, tak ostry i tak rzucający się w oczy, jak w Republice Federalnej Niemiec. A wszystko zaczęło się w 1961 roku. Zaczęło się w momencie, gdy „Bundesrepublik” wrosła nieoczekiwanie, po przegranej bądź co bądź wojnie, na kraj gospodarczego cudu.

Zaczęło się od prawdziwej wędrowki ludów.

Miliony bezrobotnych ruszyły z biednych, zacofanych krajów polu-

nia, na bogata, szybko rozwijająca się północ.

W ciągu kilku krótkich lat jedynie w Republice Federalnej znalazło się prawie 3 miliony „gastarbeiterów” z Hiszpanii, Portugalii, Jugosławii, przede wszystkim jednak z Turcji.

o na pół feudalnej Anatolii. Kto z tych ludzi bardziej był odporny, szedł na każde wyrzeczenie i na każde poniżenie, byle utrzymać się na powierzchni i wrócić po latach z pełną sakiewką do rodzinnego kraju. Pracuj i zaciskaj zęby. Pracuj, zaciskaj pięści i oszczędzaj. Oszczędzaj na czym się da, byleś nie wrócił do rodzinnej wioski jako przysłowiowy „golec”.

Przy jakich robotach zatrudnia się „gastarbeiterów”?

Przy najgorszych.

To jest przy takich, które są najbrudniejsze, najcięższe, najgorzej też płatne. Turcy czy Portugalczyk w „Bundesrepublik” to zamiatacz ulic, to robotnik w przedsiębiorstwach przetwórczych, to sprzątac, posługacz, śmieciarz, w najlepszym razie

commentarzach, pozmywał talerze w restauracjach, zasiał łóżka w hotelach. A wszystkie miasta w całej „Bundesrepublik” zarosłyby kurzem i brudem zamieniając się w jedno wielkie śmietnisko. Są to prace tak mało opłacane, że ci rdzenni obywatele Republiki Federalnej odwracają się do tych zajęć plecami. Szukają pracy, a i owszem, ale nie takiej. A dopóki czegoś nie znajdą odpowiedniego, wolą już raczej zasiłek dla bezrobotnych.

Stąd ów przedziwny z pozoru paradoks.

Z jednej strony prawie 900.000 zarejestrowanych w „Bundesrepublik” bezrobotnych.

Z drugiej strony prawie milion młodych Turków, którzy jednak pracę mają.

łącznie turecki. Wszędzie ci ciemnowłose ludzie w fezach na głowie i z czarnym wąsikiem pod nosem. I ten wszechobecny zapach czosnku, cebuli i ostrej papryki. To był Orient. Tak jest Orient w sercu Zagłębia Ruhry.

Turcy mieszkają w gettach.

Z wyboru tak mieszkają. Tylko, że co wybrali, niezupełnie wybrali lekkiem sercem. Działali pod przymusem. Tym ekonomicznym. Wolność tam panuje rzeczywista. Każdy może mieszkać wszędzie. Nikt Turka nie zepędza w ciemne zaułki koło kolonij dworca. Jeśli Turak tego chce, może zamieszkać nawet w pałacu. Tylko, że cała ta kwestia nie w chęciach, tylko w możliwościach. Za 4-pokojowe mieszkanie przy tak zwanej porządnej ulicy, płaci się w Kolonii od 1.000—1.600 marek miesięcznie. Nawet płaci więcej. Za jeden pokój bez kuchni, płaci się w nędznej dzielnicy marek 150. To się działo z bezbiednością przeznaczania. Ty na lewo, a ty na prawo, choć w teorii wszyscy korzystają z tych samych praw i tych samych możliwości. Teoria, to w ogóle rzecz dobra, bieda w tym że ogromnie rzadko przylega do praktyki.

Bo w praktyce, Turcy, Portugalczyk i Sycylijszczyk zamieszkują getta.

Wynajmują najskromniejsze lokale przy najbardziej zapuszczonych ulicach. Na to ich stać. A wyżej tego naska nie przeskoczą. Chyba, żeby pokochali wyższe uczelnie i „porobili się” inżynierami. Teoria to dopuszcza. Wszyscy są przecież równi wobec prawa. Wszyscy mają te same możliwości. Staraj się. Wszystkie drzwi stoja przed tobą otworem. Turcy się starają. A i owszem. Tylko, że niewiele z tych starań wychodzi. Prawde mówiąc, wychodzi tylko co nic.

Bo w szkołach to już dochodzi do autentycznych dramatów.

Prawie pół miliona dzieci „gastarbeiterów” uczęszcza obecnie do szkół podstawowych Republiki Federalnej Niemiec. Przyjmuje się jako pewnik, że dwie trzecie tej młodzieży nigdy nie uzyska świadectwa ukończenia tych szkół. Zakłada się, że co setne z tych dzieci przebrnie przez egzaminy do szkół średnich. Przewiduje się, że co tysięczne z tych dzieci dostanie się na wyższą uczelnię. Starczy? Myślę, że każdy kto zna niemieckie obyczaje i niemieckie tradycje przyzna, że starczy tego wyliczenia w zupełności. Tam paperek i stemplek jest wszystkim. Zawsze był wszystkim. Nie masz świadectwa — łopata ci tylko została, albo kubał ze śmieciarni.

Co bardziej przewidujący publicyści bicia już dziś w „Bundesrepublik” na alarm.

„Die Zeit” przestregza przed możliwościami wytworzenia się nad Renem szerokiej warstwy „subproletariatu”. Ten proces już się odbywa. Już dziś ujawniają się te wszystkie problemy, zwane wyobcowaniem i przestępczością, z którymi nie mogą się uporać najbardziej nawet metropolie Stanów Zjednoczonych. Jeden z socjologów Karl Bringemer, nazwał „gastarbeiterów” nową i najniższą warstwą społeczną. A kardynał Döpfner przestrzegł publicznie, że rodzi się coś niebezpiecznego, co z całą pewnością zaczyna być „czwartym stanem”.

Wiele jednak „subproletariat”. Tak, a nie inaczej, na to właśnie wygląda, że „gastarbeiterzy” zaczynają być Murzynami Republiki Federalnej Niemiec. Na to wygląda, że są spychani na marginesy społeczny, kulturalny i gospodarczy z wszystkimi tego spychania konsekwencjami. „Gastarbeiterów” toleruje się. Ale się ich nie lubi. Powiedziałbym więcej — „gastarbeiterów” się nie znosi. Tak się rozwinęły wypadki. Spiecia, już dziś widoczne gołym okiem w każdej niemal nadreńskiej restauracji, narastają coraz bardziej. „Gastarbeiterów” szkanuje się na każdym kroku. W kraju edle szaleje bezrobocie, stali się zawada jeśli nie stali się nawet ciężarem. Wiele chciałoby się pozbyć wszystkich Turków i wszystkich Portugalczyków choćby nawet dzisiaj.

Tak te sprawy stoja nad Renem. Dziś tak stoja.

Bo jutro dużo jeszcze gorsze czasy mogą nadejść dla wszystkich tych młodych ludzi którzy przed laty szukali ziemi obiecanej wśród bogatych narodów północnej Europy. Jak to się powiada — Murzyn zrobił swoje. Murzyn może odejść. Czasy prosperity i wielkiego cudu gospodarczego minęły. I nieprędko wróca. Jeśli wróca, za dykolkwiek. Wiele Murzyni sa już niepotrzebni. Murzyni którzy ten „cud gospodarczy” współbudowali własnym trudem i własnym potem mogą już odejść. I nikt im nawet dobrego słowa nie powie na pożegnanie. Hau ab — wynoś się do wszystkich diabłów.

Kemal Duracan jest realista. Oświadczył reporterowi „Die Zeit”.

Pozostaniemy z żoną w Hamburgu jeszcze dwa lata. Chcielibyśmy koniecznie uszkładać trochę pieniędzy, żeby nie wrócić do swoich z niczym. Ale wcześniej nie wrócimy, bo by nas wymiano żęmy zawiadli...

Wiele mówi podobnie.

Będzie może z tego właśnie względu tak wielu „gastarbeiterów” zaciskając pięści i zaciskając zęby wciąż w „Bundesrepublik” pracując przy najcięższych robotach. Pracując i licząc dni do powrotu. A kto nie wróci, zasilą „subproletariat”, który stał się nad Renem już codzienną rzeczywistością.

JAN BĄBIŃSKI

# GORZKI CHLEB

Młodzi Turcy. Każdy w fezie na głowie. Każdy z czarnym wąsikiem pod nosem. Młodzi Turcy, których dziadkowie walczyli w I wojnie światowej ramie w ramie. Jako towarzysze broni, właśnie z kaiserowskimi Niemcami. Samych mężczyzn przybyło wtedy nad Ren przeszło milion. Kobiety przybyło z Turcji prawie pół miliona.

Ci ludzie znaleźli się nagle w innym świecie. Spadli na nieznaną im planetę. W „Bundesrepublik” obowiązywała wówczas „mini-moda”. Na ulice powychodziły „bardotki”, które sposób bycia i sposób życia przejęły od książkowych bohaterów mademoiselle Sagan. Wiele rodzinne ulegały zupełnie rozluźnieniu. Swoboda seksualna świeciła triumfy. Wartość człowieka mierzono pojemnością silnika w jego samochodzie. Pozycje społeczne mierzono wielkością bankowego konta. Młodzi Turcy wyładowali w innych kregu kulturalnym. Znaleźli się w kraju o odrębnych tradycjach, innym spojrzeniu na sens życia i o całkowicie odrębnych zasadach moralnych.

Życie toczyło się w Republice Federalnej Niemiec na łeb na szyję, bez żadnego wytchnienia...

Tak to przynajmniej odbierali ci wszyscy, którzy wychowywali się w sennych wioskach południowych krain Europy, nie już nie mówiąc

któs sortujący listy na poczcie. Wielu pracuje w wielkim przemyśle przy wielkich piecach hutniczych. Co tam robia należy do robot nieomal katorżniczych. Widziałem. Wiem co piszę. Wywoła szlakę, więc żużel, który wypływa z wielkiego pieca przez osobny zreszta otwór. I tak jest wszędzie. Ci ludzie robia, czego jeszcze maszyna nie zrobi, a co wymaga końskiego zdrowia i przypomina mordęgę roboczego wola.

Gdzie deszcz i ślota, gdzie drogie trzeba naprawiać, kamienie potłuc, gdzie tunel trzeba wybić w kamienistym podłożu, gdzie żużel i magiel trzeba rozładować na kolejowych bocznicach — tam są w „Bundesrepublik” właśnie „gastarbeiterzy” przy robotce. Niemcy stoja, i nadzorują. „Gastarbeiterzy” harują. Tak jest wszędzie. Można zjechać „Bundesrepublik” od Norymburgu po Bremę i od Monachium po Hamburg — widok wszędzie jednak i nadzorca — Niemiec i — tłumy cudzoziemskich robotników. Tu pacz, a tam siuga. Tu szef, a tam posługacz.

Myślę, że gdyby Himmler z grobu powstał i się rozejrzył, to by powiedział nie bez satysfakcji w głosie: — A co, nie mówili, że jesteśmy najlepsimi.

Gdyby nie „gastarbeiterzy”, to by nie było nikogo, kto by pogrzebał nieboszyków na hamburskich

Mówi się o „harlemowych” problemach Nowego Jorku. Takie „małe Harlemy” z wszystkimi dużymi przy tym problemami, pojawiły się w tych latach we wszystkich wielkich miastach Republiki Federalnej Niemiec. Ojciec — Turak — pracę znalazł. Ale jego syn, który w międzyczasie wyrósł na młodzieńca, jest najczęściej bez pracy i jest mniej lub bardziej zbuntowany. Skończył miejscowe szkoły. A jeśli nie skończył, to tym gorzej dla niego. Dość, że to najmłodsze pokolenie „gastarbeiterów” z pozycją ich ojców pogodzić się nie chce. Chce więcej. Mierzy wyżej. Stąd te kompleksy, których następstwem jest prostytutka, narkomania, w ogóle to wszystko co jest przestępczością oczywista, względnie wyraźna o przestępczość się ociera.

We Frankfurcie w Hamburgu, w Kolonii i tylu innych miastach powstworzy się getta.

To właśnie owe „kleine Harlemsy”.

W tych zamkniętych, odizolowanych od miejscowej ludności gettach mieszkają „gastarbeiterzy”. Broziłem wąskimi ulicami „Wanne-Eickel” w Zagłębiu Ruhry i przecierałem oczy ze zdumienia.

Zdało mi się że nad tym miasteczkiem unosi się niewidzialny półkiszczyc. Zdało mi się że za sprawą wielkiego maga władawalem na tureckiej ziemi. Wszędzie słyszało się język wy-



Foto: Archiwum



# KULTURA POLSKA W ŚWIECIE

W pierwszym półroczu br. nasi artyści i twórcy uczestniczyli w 400 imprezach kulturalnych za granicą. W różnych krajach zaprezentowali ponad 100 wystaw muzealnych, plastyki współczesnej i fotografii artystycznej. Uczestniczyli w ponad 100 imprezach filmowych, muzycznych i teatralnych — w sumie występowało ponad 200 zespołów. Prezentowane przez naszych artystów widowiska i koncerty, udział w międzynarodowych festiwalach i konkursach, umożliwiły szeroka prezentację osiągnięć polskiej kultury. Wnieśliśmy także poważny wkład w rozwój międzynarodowych organizacji kulturalnych — nasi reprezentanci uczestniczyli w ok. 200 międzynarodowych konferencjach artystycznych kulturalnych.

Nasza ekspansja kulturalna poza granice kraju w głównej mierze wynika z dwustronnej i wielostronnej współpracy z krajami wspólnoty socjalistycznej. W Związku Radzieckim z okazji III Festiwalu Muzyki Filharmonii Łódzkiej, zespoły kameralne, licznych solistów i dyrygentów. W Bułgarii odbyły się „Dni Dramaturgi i Teatru Polskiego”, w Rumunii cieszące się dużym powodzeniem „Dni Polskiej Sztuki Estradowej”. W Czechosłowacji — po wcześniejszej ekspozycji w naszym kraju — powodzeniem cieszyła się duża wystawa pn. „Polska — Czechosłowacja, wieki sąsiedztwa i przyjaźni”, zorganizowana przez muzea obu krajów. Na Węgrzech prezentowano wystawę polskiej grafiki współczesnej. Konsekwentnie działanie Polski na rzecz utrwalania dobrych stosunków z krajami o różnych systemach polityczno-społecznych sprzyja również rozwojowi naszej współpracy kulturalnej z krajami kapitalistycznymi. Największym przedsięwzięciem w tym zakresie były „Dni Polskie” w Madrycie — pierwsza, zakrojona na tak szeroką skalę prezentacja naszego dorobku w Hiszpanii. Znaczącą imprezą były także „Dni Kultury Polskiej” w Ingelheim w RFN. W wielu krajach zachodniej Europy zorganizowano wystawy, które określano jako wydarzenia artystyczne. Były to m.in. wystawa polskiej rzeźby współczesnej w Kopenhage, malarska polskiego XIX wieku w RFN, wystawa współczesnej tkaniny artystycznej w USA, wystawa poświęcona twórczości St. I. Witkiewicza w Paryżu. Z wysoka oceną krytyki spotykały się występy naszych teatrów: m.in. warszawskiego Teatru Wielkiego w Sztokholmie, Pantomimy wrocławskiej we Francji, Teatru „Studio” w Hiszpanii, teatru „Cricot 2” w Szwajcarii, polskie filmy „Sprawa” i „Smierć prezydenta” zdobyły nagrody na festiwalach w Cannes i Berlinie Zachodnim.

Pierwsze półrocze przyniosło ożywienie w naszych stosunkach kulturalnych z krajami Trzeciego Świata. Na w. Indach odbyła się wystawa medalistów, uczestniczyliśmy także w IV Triennale Sztuki Współczesnej w New Delhi. Polscy plastycy wzięli udział w międzynarodowej wystawie w Libanie. Plastikę światła na rzecz Palestyny, ofiarowując z tej okazji narodowi palestyńskiemu 21 swoich prac. W Algierii wystąpił zespół folklorystyczny „Lasowiacy”.

Nie sposób wymienić wszystkich imprez, jest to za wiele garść przykładów. Warto dodać, że również szeroko plany współpracy kulturalnej z zagranicą mamy na drugie półrocze br. M.in. w ZSRR odbędzie się „Dni Literatury Polskiej” na Litwie, „Dni Muzyki i Teatru Polskiego” na Węgrzech, „dni muzyki w NRD” oraz „Dni Kultury Polskiej” w Rotterdamie. Dalszemu rozszerzeniu ulegnie współpraca z krajami arabskimi i afrykańskimi.

Równocześnie nasze sale koncertowe, galerie i kina były szeroko otwarte dla prezentacji dorobku kulturalnego innych narodów. Były to imprezy cieszące się zarówno popularnością wśród widzów, jak i zainteresowaniem krytyki, szeroko omawiane na łamach prasy. Nie będziemy więc ich przypominać. Natomiast dla uzupełnienia ogólnego obrazu przeglądu polskich imprez kulturalnych na świecie, chcemy w telegraficznym skrócie odnotować jeszcze kilka innych imprez, może mniejszego kalibru, ale także mających swoje znaczenie.

\* W zachodniemieckiej TV wyświetlono film J. Rybkowskiego „Dulscy”. Wiele gazet RFN zamieściło z tej okazji recenzje oraz informacje o twórczości Zapolskiej i tradycjach polskiego teatru.

\* Publiczność Moskwy, Leningradu i Kazania gorąco oklaskiwała 40 naszych młodych pianistów — amatorów laureatów tegorocznego Festiwalu Piosenek Radzieckiej w Zielonej Górze.

\* Wystawa „Współczesna grafika wazowska” prezentowana była w stolicy Kazachstanu Alma-Atie. Obecnie dzieła warszawskich artystów — grafików są kolejno ekspozowane w mniejszych ośrodkach na trasie liczącej ponad 4 tys. km.

\* Specjalistom z wrocławskiej Pracowni Konserwacji Zabytków powierzone w Bonn zadanie przeniesienia na nowe miejsce zabytkowej kamieniczki z 1627 roku. Prace wywołały duże zainteresowanie mieszkańców i prasy. Przewiduje się, że już w przyszłym roku budynek oddany zostanie ponownie do użytku.

\* W Edynburgu czynna jest obecnie wystawa pn. „Bursztyn w historii Polski”. Jest to pierwsza tego typu ekspozycja zorganizowana w W. Brytanii ze zbiorów Muzeum w Malborku. Zamku Wawelskiego, klasztoru na Jasnej Górze, Muzeum Narodowego w Warszawie.

## Monarchiczny reżim Arabii Saudyjskiej w obawie przed możliwym wstrząsem społecznym stara się powstrzymać socjalny i kulturalny rozwój narodu, utrzymać go w średnio-wiecznym obskurantyzmie. Władze świadomie utrzymują w kraju terror, bez skrupułów dławiąc najmniejsze oduchy niezadowolonej masy. Jednocześnie, uruchamiając ogromne środki finansowe, reakcyjne koła Arabii Saudyjskiej aktywizują wyrotową działalność na Bliskim Wschodzie i w Afryce.

Reżim saudyjski otwarcie miesza się do wewnętrznych spraw innych państw arabskich i afrykańskich, rozpała szowinistyczne nastroje, jednoczy wokół siebie najbardziej reakcyjne siły, tworzy agresywne sojusze wymierzone swym ostrzem w demokratyczne i postępowe rządy krajów tego rejonu. Rządząca góra królestwa dąży do zdławienia narodowo-wyzwoleńczego ruchu na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Nasuwa się pytanie: jaką rolę odgrywa Arabia Saudyjska w świecie zachodnim, z którym współpracuje bardzo blisko? Zupełnie wyraźnie wypowiada się na ten temat Kongres Stanów Zjednoczonych: „Ekonomiczny rozwój Arabii Saudyjskiej i innych naftowych krajów Zatoki Perskiej — czytamy w raporcie komisji do spraw energetyki i obojętne naturalnych Kongresu USA, o publikowanym w początkach tego roku — jest niezbędny dla zapewnienia równowagi politycznej” (chodzi o „równowagę” Ameryki Północnej i zachodniej Europy — red.).

Dążąc do stworzenia potęgi ekonomicznej rząd Arabii Saudyjskiej nie żałuje środków. Ogólna suma inwestycji ekonomicznych, objętych pięcioletnim planem rozwoju w latach 1976—1980, wynosi 142 miliardów dolarów. Przewiduje się rozbudowę infrastruktury, ułożenie 1,800 km d-óg asfaltowych, budowę nowych miast, lotnisk, portów, zakładów petrochemicznych i chemicznych, stalowni i fabryk aluminium. Zamierzenia te realizuje państwo. Ono właśnie zabrało się do wykonania programu rozwoju, uzależniając się niemal całkowicie od zachodnich przedsiębiorstw, przede wszystkim amerykańskich od których Rząd zakupuje po horrendalnie wysokich cenach technologie i dokumentację techniczną. Zachodnie kompanie odczeka idą na te „współprace” korzystając z niesłychanych przywilejów. Udziela się im na przykład zaliczek w wysokości do 50 proc. ogólnego kosztu projektu. Poza tym zwalnia się je od podatku dochodowego, opłat celnych i wreszcie udziela się im wyłączne prawo do samodzielnego ustalania cen swojej produkcji oraz wywożenia dochodów za granicę w nieograniczonej wysokości. Dzięki tym przywilejom dochody zagranicznych kompanii zaangażowanych w produkcję przemysłową Arabii Saudyjskiej wynoszą 18, a w handlu — od 100 do 800 procent.

Pięcioletni plan rozwoju królestwa nosi tylko nazwę „planu saudyjskiego” w rzeczywistości bowiem został opracowany przez zachodnich ekspertów, którzy wzięli w nim pod uwagę gwałtowne zapotrzebowanie mocarstw zachodnich na nowe rynki zbytu. I pod tym względem Arabia Saudyjska stwarza nieograniczone możliwości. Amerykańskie monopole uczestniczące w rozwoju przemysłowego sektora kraju liczą na to, iż w ciągu pięciu lat „saudyjskiego planu rozwoju” włożą do swoich kieszeni kilkadziesiąt miliardów dolarów. Niemniej,

wykonanie programu przemysłowego rozwoju kraju napotyka na poważne przeszkody spowodowane przede wszystkim patriarchalnym systemem społecznym, u podstaw którego leżą dogmaty religijne, określające stosunki w kraju i obyczaje. Jeśli chodzi o czysto techniczne trudności, to wywołuje je cały szereg przyczyn: brak wykwalifikowanych pracowników i kompetentnych specjalistów, brak doświadczenia w organizowaniu nowoczesnej produkcji przemysłowej, trudności z ulokowaniem zagranicznych robotników, brak wody i energii elektrycznej. Należy do tego dodać także brak pomieszczeń na magazynowanie towarów oraz niską przepustowość portów. Ogólna suma strat ponoszonych z powodu osucia się w

krótko i dziś budowa i metra kwadratowego powierzchni w budownictwie mieszkaniowym w Rijadzie kosztuje 10 tys. dolarów!...

Ale mimo wszystko największą przeszkodą na drodze głębszych przeobrażeń ekonomicznych w Arabii Saudyjskiej pozostaje obawa rządzącej góry przed ruchami socjalnymi. Starając się uchronić swoich poddanych przed zarażeniem ideami wyrotowymi przenikającymi z zagranicy, rząd w Rijadzie wydał cały szereg drakońskich ustaw.

W polityce Zachodu przeznacza się Arabii Saudyjskiej do odegrania pierwszoplanową rolę. Będąc najważniejszym dla USA państwem w tym rejonie świata zarówno pod względem ekonomicznym jak i politycz-

## ARABIA SAUDYJSKA

# NAFTOWY GIGANT NA GLINIANYCH NOGACH

portach towarów masowego spożycia sięga rocznie ponad dwa miliardy dolarów, co jest bezpośrednią konsekwencją nie hamowanego i bezplanowego importu. Interesująca liczbą: w 1971 roku dwa porty w kraju — Damam i Dżidda — przyjęły towary wartości 1 miliarda dolarów. W lecie tego roku, więc po upływie zaledwie 7 lat, liczba ta wzrosła do 15 miliardów dolarów.

Arabia Saudyjska nie posiada nowoczesnej kadry administracyjnej jak również instytucji politycznych, które by mogły zapewnić stałe i dynamiczne funkcjonowanie całej maszyny przemysłowej. Wprawdzie w 1977 roku w Arabii Saudyjskiej wzrosło globalne narodowe produkty brutto 15,4 proc., podczas gdy plan przewidywał tylko 10,4 proc. Należy jednak wziąć pod uwagę, iż podstawowa przyczyna tego skoku kryje się w zwiększonym o 10 proc. wydobyciu ropy naftowej. Jak okazało się niedawno, z 41 miliardów dolarów asygnowanych na rozwój ekonomiczny w 1977 roku, nie wydaktowano aż 20 proc. tej sumy, co bardzo ujemnie odbiło się na budownictwie mieszkaniowym oraz na zaopatrzeniu ludności w wodę i energię elektryczną. Jak wynika z oświadczenia I wicepremiera Fahda, rząd był zmuszony anulować dwa projekty pierwszorzędnej wagi: budowę elektrowni oraz budowy sieci kanalizacyjnej szeregu miast, które — paradoks — posiadają najnowocześniejsze centrale telefoniczne łączące je niemal ze wszystkimi stolicami świata zachodniego.

Poważne trudności na drodze ekonomicznego rozwoju kraju stwarza brak rąk do pracy. Z półtora miliona robotników, rdzenni mieszkańcy królestwa stanowią zaledwie 4 procent. Pozostali to imigranci z Jemenu, Egiptu, Somalii, Pakistanu, Syrii, Indii i Południowej Korei. Dla realizacji rozbudowanych ekonomicznych projektów trzeba jeszcze o najmniej 500 tys. robotników-imigrantów. Ale wątpliwe, czy nawet Arabia Saudyjska może sobie na to pozwolić, nie mając dotąd wystarczającej ilości mieszkań dla cudzoziemskich robotników, gnieżdżących się w bidonville'ach na peryferiach miast. Obecnie 82 proc. mieszkańców miast, z czego 2 mln stanowią Jemczycy, mieszka w żaloznych lepiankach. W przeciągu 8 lat czynsz wzrósł 15-

nym, Arabia Saudyjska ma tam pilnować interesów Zachodu. Zobowiązano ją więc do współdziałania w ograniczaniu wpływów radzieckich na Bliskim Wschodzie, do zapewnienia bezpieczeństwa tzw. umiarkowanym reżimom świata arabskiego i Zatoki Perskiej, i wreszcie do popierania polityki Stanów Zjednoczonych w kwestii „uregulowania konfliktu arabsko-izraelskiego”. Tym właśnie, jak uważa obserwator polityczny tygodnika „Demain l'Afrique”, należy tłumaczyć rosnącą ingerencję Rijadu w wewnętrzne sprawy krajów tego obszaru świata.

Dażenie rodziny królewskiej do rozszerzenia wpływów nie ogranicza się tylko do świata arabskiego. Władcy, np. iż Rijad nie ukrywał swego zamiaru wprowadzenia embarga na dostawy ropy do Francji w razie zwycięstwa w tym kraju sił lewicowych. Jeśli chodzi o Afrykę, to Arabia Saudyjska próbuje wywierać swoje wpływy nie tylko w rogu Afryki, lecz także w zachodniej Saharze. Południowej Afryce, w Zairze. Finansowe zasoby Arabii Saudyjskiej są tu ważkim argumentem, który pozwala jej na składanie kuszących obietnic krajom rozwijającym się, wymuszając na nich różne ustępstwa. W rzeczywistości jednak Rijad woli „możny” tego świata. A „możny” tego świata, w rodzaju Waszyngtonu, który zawarł z Rijadem długoterminowe porozumienie, stawiają „na stabilizację i niezmienny porządek rzeczy”, które panują w Arabii Saudyjskiej. Owa „stabilizacja” jest jednak tylko mistyfikacją, która może się rozwać przy pierwszej konfrontacji z prawdą życia. Największe niebezpieczeństwo — z punktu widzenia rządzącej góry — zagraża reakcyjnemu reżimowi w Rijadzie ze strony rodzącej się i rosnącej w siłę klasy robotniczej, która już dziś stanowi 45 procent pracującej ludności kraju. W Arabii Saudyjskiej dojrzała siła, która może do podstaw wstrząsnąć królestwem i dokonać głębokich przeobrażeń społecznych i politycznych. Dla wielu ludzi znających sprawę, naftowy gigant Zatoki Perskiej, mimo swego groźnego wyglądu stoi na glinianych nogach.

JERZY CZECH

## PREMIER TRUDEAU O POLITYCE USA

Wywiad premiera rządu Kanady, P. Elliotta Trudeau, udzielony zachodniemieckiemu tygodnikowi „Der Spiegel”, którego skrót zamieszczamy poniżej, jest utrzymany w duchu przyjętym w zachodnim dziennikarstwie. Niemniej jest on wymownym świadectwem, że linia Waszyngtonu ukierunkowana na podważenie procesu odwrócenia i zastrzeżenie stosunków z ZSRR, nie cieszy się bezkrytycznym poparciem na Zachodzie.

„Spiegel”: Należy stwierdzić, iż wasza ekonomiczna zależność od „starszego brata” na Południu nie pociągnęła za sobą zależności politycznej. Wprost przeciwnie, niezależnie od USA wstąpiłście na drogę odprężenia, nawiązując, na przykład, stosunki dyplomatyczne z Chinami i Kubą. Tymczasem między Wschodem a Zachodem nastąpiło nowe napięcie.

Trudeau: Nie jestem prorokiem. Ale w każdym razie zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby nasza polityka zapobiegła wybuchowi nowej zimnej wojny.

„Spiegel”: Czy można osiągnąć taki stopień bezpieczeństwa przy niższym poziomie zbrojeń?

Trudeau: Jesteśmy o tym przekonani. I jesteśmy absolutnie zdecydowani przedstawić państwu Układu Warszawskiego propozycje, które, jak mamy nadzieję, nie powinny być odrzucone.

„Spiegel”: Co, pana zdaniem, kryje się za ogromnym wzrostem radzieckiej potęgi militarnej? (Pytanie tygodnika nosi w formie i treści typowy dla prasy burżuazyjnej prowokacyjny i demagogiczny charakter — red.). Względnie prestiżowe czy względnie bezpieczeństwa, podobnie jak u nas?

Trudeau: Uważam, że względy bezpieczeństwa. Niech pan nie zapomina, iż na przestrzeni minionych 200 lat Rosja niejednokrotnie była obiektem agresji z Zachodu. Rosjanie wiedzą, że my zwiększamy nasz potencjał militarny i dlatego oni zwiększają swój.

„Spiegel”: Czy sądzi pan, że można osiągnąć równowagę bezpieczeństwa w strategicznej broni atomowej, podobnie jak w dziedzinie broni konwencjonalnej?

Trudeau: Bezwarunkowo tak. Jestem głęboko przekonany, że Rosjanie chętnie by się zgodzili na zmniejszenie brzoźmienia zbrojeń w całym aspekcie.

„Spiegel”: Co, pana zdaniem, zachodzi w Afryce? Czy Rosjanie wykorzystują tylko okazje które się nadarzają, czy też kryje się za tym szczegółowa opracowana strategia?

Trudeau: Nie sądzę, żeby istniała szczegółowa długofalowa strategia dotycząca Afryki. Uważamy, że bieżąco jest każda próba rozwiązywania problemu afrykańskiego w drodze działania z zewnątrz.

„Spiegel”: Innymi słowy, żadnego miesiania się w sprawy Afryki?

Trudeau: Miesianie się może być błędem, ponieważ Afrykanie wystąpią w końcu przeciwko próbom rozwiązywania ich problemów przez obce mocarstwa. W ostatecznym tańcu afrykańskie problemy powinni rozwiązywać Afrykanie.

„Spiegel”: Prezydent Carter zdecydowanie zaprotęstował przeciwko procesom dysydentów w ZSRR. Czy popiera pan jego stanowisko?

Trudeau: Nie powiedziałbym, że popieram to stanowisko. W ostatnich latach, my, podobnie jak RFN, wystarczająco aktywnie pomagaliśmy w łączeniu rodzin, których członkowie znajdowali się po obu stronach granicy dwóch systemów społecznych. Jeśli chcemy osiągnąć wyniki w tak konkretnych sprawach powinniśmy posługiwać się bardziej kanałami dyplomatycznymi, niż publicznymi oświadczeniami. (C)

## ■ KTO ZOSTANIE PAPIEŻEM? ■ MYLĄCY SPRZECIW CARTERA ■ TRZY GREMIA W GENEWIE

W tym tygodniu — 25 bm. rozpoczyna się konklawe z udziałem najprawdopodobniej 112 kardynałów — elektorów. Prawo głosu, jak już pisaliśmy, spośród 130 członków kolegium ma 115 kardynałów ale trzech z uwagi na stan zdrowia nie przybędzie do Watykanu. Podkreśla się, że nigdy jeszcze konklawe nie było tak liczne i tak różnicowane, jeśli chodzi o reprezentację kościołów różnych kontynentów. Pisze się też iż 109 kardynałów otrzymało „purpura” z decyzji Pawła VI.

Wśród kandydatów na 265-go w historii papieża wymienia się przede wszystkim Włocha Bartolego oraz Argentczyka (ale również włoskiego pochodzenia) Pironio. Pierwszy, jak pisze Reuter, „jest człowiekiem niezależnie myślącym a jednocześnie prostym w sposobie bycia”, drugi — „zdołoby opisać człowieka o otwartym umyśle, akceptującego dialog, jest przy tym skromny i wyrozumiały”. Ten ostatni ma 38 lat, jest więc „młody” i to może podobno działać na jego niekorzyść.

Komentatorzy, wiele miejsca poświęcając konklawe, zauważają, iż jest pewna równowaga między liczbą kardynałów o konserwatywnych poglądach i o poglądach postępowych. Czterech elektorów ocenia się jako radykalnych, ale tym nie dają się zszasać.

Wszystkie rozważania mogą jednak okazać się ostatecznie nieistotne dla wyboru papieża. Elektorzy mało się na wzajem znają i wybór może być wypadkową różnych wewnętrznych konfiguracji. Powtarza się opinia, że konklawe będzie z pewnością trudne i tym razem mogą zawieść wszystkie przewidywania.

Kto zostanie nowym papieżem — dowiemy się wkrótce. Wbrew bowiem wcześniejszym przekonaniom, że konklawe będzie długie, teraz przypominają się, że wybierające Pawła VI trwało 36 godzin i obecnie nie powinno być wiele dłuższe.

Pisemy o wyborze papieża na miejscu, poświęconym sprawom zagranicznym, nie bez powodu — we współczesnym świecie licza się wszystkie siły, które opowiadają się po stronie pokoju i ułatwiają rozwój międzynarodowego odwrócenia. Paweł VI włączył Watykan właśnie w taki proces.

Dziś, co podkreślamy z uporem, najważniejszym problemem jest zahamowanie zbrojeń. Niestety, praktyka nie spełnia oczekiwań narodów i wydatki na cele militarne wciąż rosną. I tak, na przykład w Stanach Zjednoczonych mają one osiągnąć w roku przyszłym rekordową wielkość 130 mld dolarów. W ostatnich dniach odbyła się

kolonialna konferencja prasowa prez. Cartera. Omawiał na niej, że postawił sprzeciw wobec decyzji Kongresu budowy wielkich lotniskowców atomowych, z których każdy ma kosztować 2 mld dolarów. Sprzeciw Cartera nie powinien jednak nikogo mylić, nie ma bowiem nic wspólnego z redukcją budżetu na cele militarne. Po prostu prezydent jest zdania, że tak wielkie jednostki mogą stać się łatwym obiektem do zniszczenia i opowiada się za pełniejszym wyposażeniem większej ilości konwencjonalnych lotniskowców. Wyjaśniał to, ponieważ tuż po wspomnianej konferencji nagromadziło się w komentarzach zagranicznych wiele nieporozumień.

Mimo zazwyczaj najbardziej wakacyjnego okresu w polityce międzynarodowej, Czytelnicy z pewnością zauważą informacje o kolejnych spotkaniach w Genewie przedstawicieli ZSRR, USA i W. Brytanii na temat opracowania układu o całkowitym i powszechnym zakazie prób z bronią lotniczą oraz przedstawicieli ZSRR i USA, którzy dyskutowali o wspólnej inicjatywie w sprawie zakazu broni chemicznej.

Zdaniem obserwatorów pierwsze z wymienionych rokowań przebiegają pomyślnie i istnieje realne perspektywy zakończenia ich podpisaniem porozumienia.

Jak wiadomo, Układem Moskiewskim położono kres eksperymentalnym wybuchom lotowym w atmosferze, w kosmosie i pod wodą. Nie udało się wówczas wynefocować zakazu wybuchów podziemnych. Z inicjatywy Związ-

ku Radzieckiego w 1974 roku osiągnięto następnie ograniczenie — od tego czasu USA i ZSRR nie mogą prowadzić eksperymentów pod ziemią z ładunkami o mocy powyżej 150 kiloton. Ciągłe jednak nie ma całkowitego zakazu. Aby do niego doprowadzić wspomniane trzy państwa rozpoczęły przed rokiem rozmowy w Genewie. Jak już powiedzieliśmy, przebiegają one korzystnie i otwierają realne nadzieje.

Mniej wiemy o stanie rokowań dwustronnych na temat zakazu stosowania broni chemicznej. Zostały one wznowione po pewnej przerwie i dopóki mogą nabrać rozmachu.

W obrębie tej samej problematyki pozostała ostatni temat dzisiejszego przeglądu tygodniowych aktualności. Chcemy bowiem odnotować poparcie ekspertów w genewskim Komitecie Rozbrojeniu dla radzieckiej inicjatywy zawarcia międzynarodowego porozumienia o zakazie rozwijania i produkcji nowych rodzajów broni masowej zagłady. Międzynarodowi eksperci o-rzekli, że proponowane przez ZSRR porozumienie jest jedynym środkiem, który może zapobiec konstruowaniu nowych, jeszcze groźniejszych niż dotychczasowe, rodzajów broni, co jest bardzo prawdopodobne wobec licznych odkryć naukowych. Ta ekspertyza powinna pomóc w przyjęciu radzieckiej inicjatywy.

W. ŚLAWSKI

# ZYCZLIWOŚĆ PRZYWRACA ZDROWIE

Repty Śląskie. Miejscowość, mała osada znana określonej grupie ludzi. Przede wszystkim tym, którzy zamieszkują pobliskie tereny, ale także tym, którzy ściągają tu niemal z całej Polski. Nazwa niewiele mówiąca ludziom zdrowym, sprawnym, szczęśliwym, natomiast wiele mówiąca tym, którzy zostali w jakiś sposób przez los pokrzywdzeni. Mieści się tu bowiem GÓRNICZE CENTRUM REHABILITACJI LECZNICZEJ I ZAWODOWEJ oraz dwie kliniki należące do ŚLĄSKIEJ AKADEMII MEDYCZNEJ w KATOWICACH.

Ponieważ dwa lata temu zostałam także pacjentką Kliniki Rehabilitacji, której dyrektorem jest dr n. med. doc. Józef Juszek, chciałabym opisać to, co się tam znajduje.

Być może wypadnie to sucho i opisowo. Rzeczy martwe — budynki, park, całe Centrum można w jakiś sposób wylczyć. Nie można natomiast słowem oddać atmosfery tu panującej. Słowa mogą wypaść pompatycznie i cukierkowo i wtedy ludzie, którzy tu nie trafiają będą mieli obraz lśnącego raj dla ludzi kalek, a wiadomo, że taki raj nigdzie nie istnieje. Ale wiem z własnego doświadczenia, że ta Klinika sta-

nowi pewien azyl dla ludzi dotkniętych kalectwem. Stanowi to bezpieczną przystań przynajmniej na okres najtrudniejszy, okres, w którym i fizycznie i psychicznie trzeba nauczyć się żyć w nowych warunkach.

Ala żeby to ocenić, trzeba tu być, trzeba doznać samemu na własnej skórze ciężkiego nieszczęścia. Jakim jest dla każdego człowieka choroba wlokąca się latami, ułomność fizyczna, bardzo często nieodwracalna, bez nadziei na to, że coś się zmieni.

Nie trafiają tu ludzie o charakterach niezłomnych, żelaznych. Człowiek jak człowiek. Każdy z chorych

swoją gehennę przeżywa na swój sposób. Chorzy ludzie muszą zaakceptować i swoje inwalidztwo, i bardzo często samotność, która jest następstwem tego inwalidztwa. W tym okresie ludziom potrzebna jest życzliwość, dobre słowo, gest zrozumienia. Wytworzenie atmosfery, że nie wszystko jest stracone, że wiele własnym wysiłkiem i pracą można zmienić na lepsze. I to jest ogromny dar losu, który tutaj każdy inwalida znajduje.

Samo Górnicze Centrum położone jest w pięknym parku, trudno to właściwie określić jako park, bo ta przestrzeń posiada kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt hektarów. Gatunków drzew występuje tu około dwustu. Znajdują się tu takie unikatki, jak drzewa tulipanowe, których w całej Europie jest niewiele — w Reptach są dwa. Z chwila powstawania Centrum specjaliści badali tutaj klimat. Doszli do wniosku, iż powietrze jest tu wręcz krystaliczne, pozbawione jakichkolwiek zanieczyszczeń. Jest tu specyficzny mikroklimat, który dla ludzi chorych, zatrudnionych szczególnie na Śląsku — Centrum budowane było bowiem dla górników i hutników — stanowi wręcz idealne warunki i dodatkowy atut do budowania takiego ośrodka.

Praca Centrum rozpoczęła się w bardzo skromnych warunkach, w starym, przystosowanym kompleksie budynków, będących częścią gospodarstwa majątku byłego hrabiego Donnermarcka. Wiadomości o Reptach, podane w sposób zbeletryzowany znalazłam w książce Wilhelma Szewczyka pt. „Skarb Donnermarcków”, wydana przez „Śląsk” w 1973 roku. Książka ta zawiera opis panowania przez okres ponad trzech wieków rodziny Donnermarcków na terenie Śląska, proces tworzenia wielkiego kapitału przez Prusaków, znaczenie ludności polskiej, walkę ludu polskiego z uciskiem zaburcy. Główną siedzibą tych książąt był Świerkianiec, a letnią rezydencją właśnie Repty.

Pierwszym dyrektorem tego Ośrodka był dr Bolesław Bara (nadal pracuje na stanowisku ordynatora oddziału interny D). W jakiś czas potem zaczęło prace nad budową nowych obiektów i pawilonów. Budowano to pod patronatem wszystkich Zjednoczeń Węglowych na Śląsku. Kierownictwo nad całością — jako dyrektor naczelny objął doc. Józef Juszek. Było to około 10 lat temu. Decyzja podjęcia tak trudnej pracy nie mogła przyjść nagle, nieprzemysłalnie. Chciał stworzyć coś, co ludziom kalek pozwoliłoby powrócić w jakimś stopniu do normalnego życia. Znając z własnej pracy tragiczne sytuacje ludzi ułomnych, chce im nieść pomoc w warunkach, które mogą dać maksimum udogodnień (poprzednio pracował w Szpitalu Miejskim w Rybniku, będąc chirurgiem ortopedą). Mimo, iż miał szansę podjąć pracę w Warszawie związał się z Reptami. Ta decyzja wyszła tylko na korzyść chorym i całemu ośrodkowi. Dyrektor Juszek — człowiek energiczny, konsekwentny w swoich poczynaniach, niejednokrotnie borykał się z ogromnymi trudnościami. Tempo budowy było więc różne. Ludzie, którzy znają powstawa-

nie Rept w takim kształcie, w jakim są dziś, opowiadają historie wręcz wyjęte z bajki z humoresek.

Poza takimi sprawami jak uczestniczenie w planowaniu — budowaniu, zdobywaniu materiałów, ludzi do budowania, docent Józef Juszek musiał dopilnować materiałów, aby nie „niknęły”, drzewostanu, aby nie został wycięty w pień przez ludzi, którym smakował „łatwy chleb”. Jednym słowem — był tu dyrektorem, a także stróżem, ba, skąpcom, który dzień i noc pilnuje tego, co zdobył i tego, co ma powstać. A powstawała wspaniała rzecz.

To, co zostało zbudowane, można zobaczyć gołym okiem i poszływać. Tylko tego, ile wysiłku to kosztowało cały zespół ludzi pod kierownictwem docenta Józefa Juszka — nie da się przeliczyć ani ilością budynków, ani ich wysokością.

Docent Juszek spędził na tej budowie najlepsze lata swojego życia, będąc jednocześnie pracownikiem administracji, lekarzem operującym i rehabilitującym. W tym czasie także robił specjalizację naukową, a przecież na to też trzeba było zapracować i znaleźć czas. Znając dziś docenta Juszka zastanawiam się, w jaki sposób łączył te wszystkie sprawy? Zresztą i dziś pracuje tak samo na „pełnych obrotach”, więksość dni i nocy spędza w klinice. Z natury jest człowiekiem rzetelnym, zdyscyplinowanym, a więc wymagającym przede wszystkim od siebie, ale także od ludzi, którzy z nim współpracują.

Zdaje sobie sprawę, że nie jedną noc nie przespał, pilnując, aby jego „dziecko”, któremu nadał tożsamość życia — rosło zdrowo, rozwijało się prawidłowo. No i wyrosło. Jest to piękny kompleks 4 budynków połączonych hollami, korytarzami, windami towarowymi i osobowymi. Jest tu piękny kryty szklany basen, małe baseny — cały zestaw konieczny do leczenia hydroterapią. Pięknie wyposażone gabinety fizykoterapii, sale gimnastyczne, a wszystko to znajduje się pod jednym dachem. Oddziałów jest sporo, dwie interny, trzy neurologii, dwie ortopedie, zresztą nie sposób wylczyć wszystkich.

Docent wychodzi i wychodzi z założenia, że nie samym chlebem i choroba się żyje. Chorym potrzeba nie tylko leczenia, ale także trzeba im zapewnić warunki życia, które są zbliżone do warunków życia ludzi zdrowych. Postępuje w myśl zasady, że nie ma ludzi kalek, a są tylko ludzie, którzy na jakiś czas zostali wyrwani z normalnego trębu życia. A więc trzeba robić wszystko, aby jak najszybciej umożliwić im ten powrót. Dlatego powstała tutaj część budynków przeznaczona wyłącznie do tzw. życia kulturalnego. Jest piękne, nowoczesne kino przystosowane także dla widzów na wózkach inwalidzkich, sale gier, czytelnia z biblioteką, piękna nowa kawiarnia. Jest także gabinet fryzjerski, kosmetyczny, poczta, sklep i kiosk „Ruchu”.

Klimat przychylności panuje tu zawsze. Chorzy wracają tu kilkakrotnie, w zależności od schorzenia i potrzeb leczenia. Robi się tu wszystko i tak długo, aby sprawność fizyczna wróciła w możliwie największym stopniu.

Zdrowi ludzie, którzy tu przyjeżdżają odwiedzają swoich najbliższych, niejednokrotnie nie mogą ukryć wdzięku i radości, którą budzą w oczach tych, którzy przyjeżdżają. Tych amputowanych, czasem bez nóg i ręki, ale przecież ludzi, też chcących żyć chociażby jakąś namiastką normalnego życia. Kiedy jest się w klinice dłużej, te sprawy zaciera się, nie stanowią sprawy zasadniczej, wytwarza się ogólna atmosfera życzliwości, zrozumienia. Chorzy — jedni bardziej cierpliwi, inni mniej — wszyscy czekają na słowa otuchy, zachęty ze strony dyrektora. Bo właśnie on posiada ten dar podtrzymywania na duchu. Robi to z ogromnym poczuciem humoru i wyrozumiałości.

Jednym z pacjentów, od lat leczonym przez docenta Józefa Juszka jest, dziś 21-letni Henryk L. Historia jest długa, bo trwa tyle, ile życie tego młodego człowieka. Trafił on do docenta Jeszka w Rybniku. Chory od dziecka, przeszedł 12 operacji kostnych, wszystkie wykonane przez docenta Juszka. Z dziecka nie chodzącego, doprowadził Henia do tego, że zaczął chodzić. Skończył normalną szkołę podstawową, a następnie szkołę zawodową stacjonarnie już tutaj, w Reptach. Znowu zły los sprawił, że młody adept szkoły zawodowej nie może nadal kontynuować nauki w technikum, które rozpoczął. Zwykle złamanie nogi stanęło temu na przeszkodzie. Leczenie znowu zapowiada się na dłużej i wymaga dużo cierpliwości od leżącego i leżącego. Dla mnie jest to młody, dzielny człowiek. Leczy się nadal i nadal pragnie kończyć technikum. Wyrwał na człowieka oczynianego, kulturalnego i mimo tak ciężkiego życia od dzieciństwa — na człowieka życzliwego i pogodnego. Nie widzi zdrowy, pełen życia młodzieńcze, mimo dobrych warunków, nie osiągnie tego, co zdobył już Henryk L.

Poznałam także Irenę K. Będąc dzieckiem, uległa wypadkowi. Mimo amputacji obu nóg i lewej ręki skończyła filologię rosyjską. Za sprawą docenta Juszka została wysłana do Szwecji, otrzymała dobre protezy i nie sprawa wrażeń zagubionej, biednej istotki. Pracuje w hucie „Zabrze” — jest przysięgłym tłumaczem z języka rosyjskiego. Jest samodzielną, pełną życia kobietą. Dziś Irena K. założyła własne ogólnokomunikacyjne, no i sprawa niebagatelna — urodziła syna, Mareczka.

Takie przykłady można mnożyć. Nie sposób opisać wszystkich. Wiem, że Górnicze Centrum i Kliniki zwiędzały wiele wyśmienitych, zagranicznych, wielu specjalistów z innych państw socjalistycznych i zachodnich. Wzorowano się niejednokrotnie na Reptach, tworząc u siebie podobne ośrodki. Nadal wyjeżdżają fachowcy z różnych stron świata, aby podpatrzeć dorobek Rept, sposób leczenia i rehabilitowania. W planach Górniczego Centrum miały powstać dalsze budynki, dalsze oddziały, jak chociażby specjalny oddział dziecięcy. Planowano utworzenie sztucznego jeziora i specjalnego oddziału w sztolniach starej kopalni srebra. Sprawa chyba nadal jest aktualna i potrzebna, ale na razie na ten temat panuje cisza. A szkoda.

MIROSLAWA HAJDUKIEWICZ

## PRAWO DO EUTANAZJI?

Problem eutanazji — „śmierci zadanej dla skrócenia męk pacjenta pozostającego w stanie beznadziejnym” jest ciągle żywo dyskutowany. Prasa polska pisała na ten temat obszernie już kilka lat temu. Ostatnio sprawa znów pojawiła się w prasie zachodniej, przedstawiana nierzadko w kontekście szeroko pojmowanych praw człowieka.

Za pośrednictwem Polskiej Agencji „Interpress” otrzymaliśmy artykuł francuskiego dziennikarza z „Dauphine Libere” z Grenoble. Publikujemy go wraz z artykułem pólra polskiego dziennikarza Kazimierza Ostrowskiego. Nie jest to dialog wprost na ten drażliwy temat. Po prostu dwa spojrzenia.

### „DUM SPIRO — SPERO...”

„Dum spiro — spero...” — dopóki oddycham — mam nadzieję, powiadał starożytny Rzymianin i jest w tej myśli ogromny ładunek optymizmu. Nie gnał nigdy nadziei tak charakterystycznej dla rodzaju ludzkiego.

Ala problemy życia i śmierci, problemy wolności pojmowanej jako absolutna swoboda postępowania zawsze pasjonowały ludzi i tak zawsze skłaniały niektórych do lansowania skrajnych poglądów.

Cóż — oglądy?! Gorzej, że czasem dochodziło do ich urzeczywistnienia. Kiedy dyskutowaliśmy o eutanazji nie możemy nie pamiętać o próbach praktycznego test stosowania i to na wielką skalę.

Postawmy przykład starożytnej Sparty w której pomoc słabotę nie mówię, a i osłabłych z sil starożytność, co ze „świecie” Skalyi Tarpejskiej. Od tamtych czasów ludzkość odnotowała wielki postęp w dziedzinie medycyny, która pozwala utrzymywać przy życiu nieomłotła dawniej skazane na zagładę. Z niemożliwych rzeczy wyrastała ludzka wytrzymałość, a jakże wiele uczyniła medycyna dla orzędużenia ludzkiego życia? I tak wiele ma jeszcze do zrobienia jeśli wiadomo, że nasz organizm został zaprojektowany do „funkcjonowania” przez lat ok 120!

A przecież życie jest chorobą śmierci. I można by powiedzieć w pewnym momencie że już się dalej żyć „nie odca” „nie warto”. Zdarzają się tacy i — bywa — niestary, którzy „kofca ze sobą” samobójstwem. Ale tak by na to nie patrzeć za to przypadki nie normalne, patologiczne.

„Dum spiro — spero...”  
Pewna część niemieckich lekarzy w

mrocznych czasach III Rzeszy Hitlera — wyznaczy zasady, że do życia ma prawo tylko to co „czyste”, „zdrowe”. „No-malne” — wyjednala sobie u faszystowskich prominentów ówczesnych Niemiec nie tylko „błogosławieństwo”, ale wręcz rządowe dekryty legalizujące eutanazję. Tymi też aktami prawnymi usiłują się do dziś w Republice Federalnej Niemiec bronić, gdy stawa się ich przed sadem...

„Śmierć zadana przez lekarza dla skrócenia męk pacjenta w stanie beznadziejnym...”

Co to jest stan beznadziejny i czy medycyna przy dzisiejszym a nawet „ju-trzejszym” stanie swego rozwoju będzie mogła go jednoznacznie określić? Dzisiaj bowiem — jak to powszechnie wiadomo — ustalanie z całą pewnością faktu śmierci nie jest łatwe, jeżeli nie rozpoczął się otwarty proces rozkładu zwłok.

Dziwczyną w Ameryce, o której sądzono, że jej ciało „żyje” tylko dlatego, iż jest zasilane przez skomplikowaną aparaturę medyczną, po wyłączeniu tejże żyje nadal. Medycyna zna przepaści cofnięcia się nawet bardzo rozległych przetworów nowotworu złośliwego z przyczyn do dziś nie wyjaśnionych. Przypadków tych było i jest niewiele, ale są...

Wydaje się że o eutanazji dyskutują przede wszystkim ci, którzy sadzą, że śmierć jest od nich jeszcze bardzo odległa. Albo też ci, którzy bardzo blisko się o nią otarli, np. najbliżsi krewni kogoś, kto umierał długo i ciężko. Wolała o te „laskę” także ludzie szczególnie cierpiący. Lecz czy można zmniejszyć cierpienie — to znaczy, czy inny człowiek może ocenić jak wielkie jest ono u bliźniego?!

Hitlerowscy lekarze otrzymali pra-

wo stosowania eutanazji. Ludzkość więc już wie, do czego prowadzi sankcjonowanie tej „laski”: prowadzi do nadużyć, do zbrodni. Można się w tym miejscu zadumać nad ułomnością ludzkiej natury, ale nie zmienia to faktu, iż ryzyko jest zbyt wielkie...

Nawoływanie zaś do absolutnej wolności decyzji, zawsze budzi we mnie pewne podejrzenia. Dzieje ludzkości są w gruncie rzeczy dziejami prawa, a prawo to nie innego jak nakładanie mniej lub bardziej świadomie i mniej lub bardziej dobrowolnie rozmaitych ograniczeń właśnie po to między innymi by gatunek został przy życiu, żebyśmy się wzajemnie nie wymordowali, do czego ileż to razy w przeszłości (a i dziś jeszcze) mieliśmy ochotę.

Prawo do decydowania o własnej śmierci — to brzmi bardzo zachęcająco. Gdy jednak człowiek znajduje się na krawędzi śmierci, „pomoc” ta musi przysięść z zewnątrz i decyzja musi przysięść od kogoś, kto nie cierpi, nie jest w stanie beznadziejnym, a ma ocenę stan kogoś innego, podjąć decyzję i tym samym wykonać wyrok...

Nie wzięliśmy na siebie ciężaru takiej decyzji, ani obowiązku jej wykonania. I ciekawe byłoby, jak wielu ludzi podjęłoby się tego, i kim byłiby ci ludzie?!

Życie jest pasmem cierpienia — od narodzin do zgonu. Cierpienia te są indywidualnie odczuwane, osobliwie przeżywane i oceniane. Pasmu to jest przetyka-

ne okresami ulgi, szczęścia, radości. Ten właśnie bezustanny kontrast, ta „huśtawka” stanowi smak życia. Jest w nim miejsce na przejęcia skrajne, targające ludzkim jestestwem.

Ala też nie wolno ani na chwilę zapominać, że człowiek jest stworzeniem społecznym, że jego los jest częścią losów ludzkości. „Człowiek nie jest samotną wyspą...”. I wiemy jakże dobrze, że nie raz trzeba człowieka bronić przed nim samym, przed tym co potrafi wywnęsać się w jego umyśle — w stosunku do siebie samego i w stosunku do innych...

Nie jest już dla nikogo zaskoczeniem, że nadmiar złe rozumiane wolności prowadzi do anarchii, obraca się więc przeciwko samemu człowiekowi, i dyskusja o „wolności absolutnej”, kiedy każdy „robi to co chce, na co ma ochotę, do czego skłania go jego natura” mają w sobie zaletę a humanistycznych idei...

Jeżeli mam prawo poprosić o zadanie mi śmierci i ktoś inny ma prawo mi ją zadać — to występuje tu takie spleźnienie okoliczności subiektywnych, wymykających się racjonalnym ocenom, że ogarnia człowieka przerażenie na myśl, że pomysł taki mógłby zostać zalegalizowany, usankcjonowany...

KAZIMIERZ OSTROWSKI

## PRAWO DO DECYDOWANIA O WŁASNEJ ŚMIERCI

Wobec wszystkiego co mu ofiarowuje wszechobecna nauka dzisiejszy człowiek odczuwa niepokój, a niekiedy buntuje się.

I tak, w sprawach śmierci, pragnie on odnaleźć całą swoją wolność, naturalny bieg umierania, odrzucając niepotrzebne i ponizające sztuczne utrzymywanie przy życiu, gorzki owoc uporu terapeutycznego. Tej właśnie formie wyzwolenia poświęcona jest szeroka debata prowadzona w wielu krajach, która jednak szczególnie blisko dotyczy opinii francuskiej ze względu na projekt ustawy przedłożony przez senatora Henri Callave’a na temat „prawa do własnej śmierci”. Propozycja ta zakłada, że każdy człowiek samodzielnie, pełnoletni lub niepełnoletni, zdrowy nie umyśle, może przeciwstawić się sztuczemu przedłużaniu jego życia, jeśli jest dotknięty nieuleczalną chorobą patologiczną lub powstałą na skutek wypadku.

Mówiąc dokładniej, według tego projektu, każda osoba, której istnienie mogłoby być podtrzymywane dzięki „maszynom” w stanie życia wegetatywnego, bez żadnej szansy częściowego choćby odzyskania jasności umyśłu, zdolności ruchowej, lub zachowania godnego intoty ludzkiej, będzie władna odzucić „upór” terapeutyczny uznany wówczas za niepotrzebny. I w końcu nieudzieli.

Pierwszym skutkiem tej propozycji było pobudzenie do refleksji i decyzji, wychodzących poza monopolistyczne stanowiska lekarzy i księży, zbyt zawsze skłonnych do uważania się za jedynych autorzy w tej dziedzinie.

Otóż, zarówno z punktu widzenia kontrowersji medycznej jak koncepcji filozoficznych i moralnych, każdy z nas zastanawia się głęboko, każdy z nas bowiem ma własną „wizję” śmierci i „własnie swojej” śmierci, zwłaszcza, gdy jest to śmierć na pograniczu samobójstwa i eutanazji.

I to w tym właśnie tkwi prawdziwy problem.

Przed wszystkim więc, należy uzgodnić definicję śmierci, śpiączki zwykłej, śpiączki przewlekłej, nieuleczalności, cierpienia, dla siebie i dla innych.

Czy należy uważać, jak profesor Schwabenberg (onkolog), że przestało się żyć odkąd nie ma świadomości i że pozwolił choremu „usnąć”, a w razie potrzeby pomóc mu w tym, nie będzie potężeniem kresu jego życia, które i tak już nie istnieje.

Ala inni przeciwstawiają ryzyko „śmierci mózgowej”, za którą może się kryć w pewnych przypadkach stan „osłupienia śpiączkowego” (stan śpiączkowy, który przedstawia pozory śmierci).

Tymczasem proponuje się nam ustanowienie praw dotyczących tych problemów, podczas gdy propozycja sama w sobie jest sprzeczna z własną logiką, która rozróżnia a priori choroby uleczalne i nieuleczalne.

Znaczy to poddawanie swoje „prawo do umierania” diagnozie lekarskiej, która musiałaby zatem być nieomylna. Czyż można to sobie wyobrazić?

Czy można dokonać nadawczą samodzielnego wyboru w przygotowaniu swej śmierci, i to aktem pisanym, podczas gdy nie można przadsznić o niej w sposób absolutny nawet w przypadkach doskonale określonych?

Chodzi tu o decyzję trudną do powzięcia nie tylko przez leżącego czy bliższych, ale często nawet przez samego chorego.

Jaki będzie jego ostateczny wybór w decydującej chwili? Czy pozostanie on w pełni zgodzie z życiem wyrażonym w chwili gdy był on zdrowy i świadomy? Czy też, gdyby mógł je wyrazić podczas krótkiej lub dłuższej agonii, jaka jest sztucznie utrzymywany przy życiu, chwytając się nadal resztek życia, nawet za cenę innych cierpień, aby odsunąć jak najdalej nieunikniony koniec?

Nikt nie oczyszczenie odroczenie, ale wynikający z „ostatniej woli” i jako takie powinno być uszanowane.

Porozumienie jeszcze odrzucić jako nieszczęśliwe, wiedząc, że rozsądek jak też uczucie humanitarne każą nie tyle przedłużać wszelkimi sposobami życie chorego, ile ulżyć mu w cierpieniach i pomóc mu przetrwać to co mu z życia pozostało.

Inaczej mówiąc przynajmniej większą rolę „leczeniu usmiertniającemu” która ma na celu przynieść ulgę w końcowych fazach choroby.

A więc dożyć „swego kresu” a nie śmierci, bowiem prawdziwy strach, podobnie jak prawdziwy skandal, polega w końcu na „żym umieraniu” niepotrzebnym cierpieniu, przy całkowitym upadku sił fizycznych i umysłowych.

MICK POLIKAR

WALENTIN KATAJEW

# MÓJ DIAMENTOWY WIENIEC (3)

## (FRAGMENTY)

Pamiętam, król wczoraj tamtego ranka przyprowadził ze sobą jakiegoś na wpół wiejskiego młodzieniaszka, domorosłego wierszopisa, jednego ze swych wielu nieodstępnych wielbicieli, gorąco w nim zakochanych. Włóczył się wszędzie za królewiczem, z uwielbieniem zaglądał mu w oczy, jak wierny pies, i cały czas skomlał, błagając o pozwolenie przeczytania swych wierszy.

Królewicz traktował ich po grubiańsku i drwiąco, nie licząc się ze słowami:

— I czego ty za mną łazisz? A może wyobrażasz sobie, że posiadasz niezwykły przyrodzony talent, tak jak Aleksy Kocow, albo Nikitin? Bądź spokojny, jesteś kompletnym niedołągą, twoimi wierszami można się tylko podcierać, i to w dodatku podrapiesz sobie tyłek. No? Nie smaruj się i nie szlochaj. Moskwa łzom nie wierzy. Lepiej zawróć z drogi i wracaj z powrotem na wieś ziemię orać, zamiast gnąć tutaj. I tak ni diabla z ciebie nic nie będzie, możesz mi wierzyć. Przynajmniej nie wierć się przed oczyma. Idź do kąta i gębę w kubel. Też mi geniusz! Wiesz, ile ty dla mnie znaczysz? I po kiego licha ja ciebie, głupca, karmię i poję. Żalony darmozjad!

W tym czasie namnożyło się wielu naśladowców królewicza, którzy przyjeżdżali ze wsi do Moskwy w poszukiwaniu sławy. Wydawało im się, że sława królewicza jest lekkim i tanim sukcesem. Królewicz pogardzał nimi, ale mimo wszystko schlebliu mu takie uwielbienie.

Zdaje się, że ani jeden z tych nieszczęsnych, zbakierowanych złudną literacką sławą naśladowców królewicza, nie został godnym poetą.

Wszyscy oni przepadli po śmierci swego bożyszczka. Niektórzy z nich, biorąc przykład z królewicza, popełnili samobójstwo.

Obrazy naśladowca odchodził, wycierając łzy rękawem. Zostaliśmy we trójkę: królewicz, współbojownik i ja. Królewicz podszedł do mnie, objął, i ze łzami w oczach powiedział prawie szeptem, z niewysłowionym bólem w głosie:

— Przyjacielu, przyjacielu, jestem bardzo a bardzo chory! Nie wiem, skąd się wzięło to, co boli!

Słowa te były powiedziane tak naturalnie, tak zwyczajnie, że domowemu założeniu, iż początkowo nie domyśleliśmy się, że są to pierwsze linijki nowego poematu.

Później wstał, wsparł się na parapecie, przymknął zmęczone nagle oczy śmiertelnie ranionego człowieka, a może nawet zwierzęcia-jelenia, i przemówił swym osobliwym, przesadnym, z dziwnym akcentem, głosem:

— Czy to świeże tak wiatr  
Nad bezludnym i pustym ugiorem,  
Czy...?

W tym momencie zrozumieliśmy, że jest to początek poematu. „Czarny człowiek” wymawiał z osobliwym naciskiem, łamiąc jeszcze bardziej język:

„Czornyj, czornyj, czornyj człowiek, czławik”...

Królewicz drgnął i zaczął rozglądać się, jakby w pobliżu zobaczył przerażający omen.

Mróż przeszedł po omen ciele. Szara twarz współbojownika pobladła.

Poemat nazywał się „Czarny człowiek”.

— Po kartach wstępnego listu  
Wodzi palcem i mrucząc nade mną,  
Jak mnich nad umarłym,  
Czyta mi żywot  
Jakiegoś łobuza i włóczęgi.  
Napędzając smutek do duszy  
I lękami chwytając za gardło.  
Czarny człowiek, czarny, czarny...<sup>1</sup>

Łzy płynęły królewiczowi po policzku, kiedy wymawiał słowo „czarny”...

Nie wiem, nie pamiętam,  
W pewnej wiosce,  
Może pod Kalugą,  
Może pod Riazaniem,  
Zył chłopczyk  
W rodzinie chłopskiej, prostej,  
Jasnobłosy,  
Z niebieskimi oczami —<sup>2</sup>  
Był przystojny,  
Był przy tym poeta,  
Choć z niezbyt wielką,  
Ale chwytliwą siłą,  
...jakąś kobietę,  
Przeszło czterdziestoletnią,  
Zwał niegrzeczną dziewczynką  
I swoją miłą.<sup>3</sup>

Królewicz stał, wsparł się na parapecie, i jakby spowiadał się przed nami, nie litując się nad sobą i obnażając swą duszę.

Byliśmy wstrząśnięci. On kontynuował:  
„Czarny człowiek!  
Wstępną z ciebie gość!  
Tę sławę dawno, dawno  
Już się otoczył”.

Jestem zły, rozjuszony,  
I z całą wściekłością  
Biją go laską w pysk,  
Miedzy oczy...<sup>4</sup>

Królewicz nagle oświadczył i uczynił wściekły wypad, jak gdyby rzeczywiście miał w ręku długą ostrą laskę ze złotą galką.

Później długo milczał, spuściwszy głowę. Następnie przemówił prawie szeptem:

— ...Miesiące umarł,  
Świt niebieszczy nad drogą.  
Ach, nocy, coś narobiła,  
Nocy, bodajś przepadła!  
Stoje w cylindrze na głowie,  
Nie ma przy mnie nikogo,  
Jestem sam...<sup>5</sup>

I sytuację zwierciadła...<sup>6</sup>

Gwiazdopodobne pęknięcia, jak na rozbitym zwierciadle, przeleciało przez nasze dusze. Jakich niespodziewany koniec!

Okazuje się, że poeta będąc w mialnie, rozmawiał sam ze sobą, przekonany, że rozmawia ze swym sobowtórem.

Rzeczywiście miał cylinder, który przywiózł z zagranicy i czarną pelerynę na biały jedwabnej podszewce, strój, w którym parę razy modnie ongiś chadzali na galowe spektakle do Grande Opera.

Pewnego razu, zaraz na początku naszej znajomości, królewicz pojawił się w takim płaszczu i w cylindrze, i całą noc włóczył się po znajomych, a później po bulwarach, strasząc pojedynczych przechodniów i woźniców.

Szczególnie silnie wystraszył się pewien niedołągły dorożkarz. Woźnica drzemał na koźle. Królewicz podkradł się, wskoczył na przednie koło i zajął starowiną w twarz, polaskotawczy go w brode. Woźnica obudził się, zobaczył pana w cylindrze, i z pewnością pomyślał, że zwiariował: od czasów cara — ojcza — nie widział takich jeźców.

— Dalej, stary, siadaj w dorożkę, a ja usiądę na koźle i pokażę ci kawalerską jazdę! Chcesz? — powiedział królewicz.

— Co ty! Nie zajmuj! — w strachu krzyknął dorożkarz. — Nie łap lejcy! Widzisz fulligana! Milicję zawołam — dodał, rozszerzając się nie na żarty.

Lecz królewicz nagle uśmiechnął się prosto w brodą twarz woźnicy takim dobrym, pieszczotliwym i łobuzerskim uśmiechem, a jego chłopięca twarzyczka pod czarnym kominem jedwabnego cylindra rozjaśniła się taką naiwnością, że woźnica niespodziewanie roześmiał się szeroko bezbębnyimi ustami dlatego, że królewicz zupełnie po dziecięcemu pokazał mu język, po czym — królewicz i woźnica — trzykrotnie ucałowali się, jak na Wielkanoc.

Długo jeszcze słyszeliśmy za sobą mamrotanie dorożkarza ni to pełne wyrzutu, ni to zachęty, przerywane drżącym śmiechem.

Były to złote dzionki naszej swawolnej przyjaźni. Królewicz był jeszcze wówczas podobny do wierzbowego cherubina.

Teraz przed nami stał ten sam kędzierzawy, błękitnooki znakomity poeta, a na jego twarzy kładł się cień mrocznego natchnienia.

Obmyśliśmy nowy poemat, to znaczy wypiliśmy wódkę i zjedliśmy wędzoną rybę. Lecz nie było możliwe rozstać się na tym. Królewicz jeszcze raz wygłosił „Czarnego człowieka” i wszyscy razem udaliśmy się do znajomych i nieznanym, gdzie poeta znów od nowa deklamował „Czarnego człowieka”, pilnie zakaszając i upajał się powodzeniem, jakim cieszył się poemat.

Sukces był niebywały. Drugie narodziny poety.

Piąty, albo szósty raz słyszałem „Czarnego człowieka” i za każdym razem podobał mi się coraz bardziej i bardziej. Królewicz, już zupełnie pijany, wygłaszał swój poemat z trudem trzymając się na nogach, robiąc długie paury, lekliwie oglądając się i przesadnie głośno wykrzykując pojedyncze linijki, a inne szepcząc ledwie słyszalnie.

Skończyło się to niespodziewaną awanturą królewicza z jego prowincjonalnym wielbiciele, który znów się pojawił i asystował królewiczowi wszędzie, jak wierny pies. Zaczęli ich rozdzierać. Kobiety trzymały się za skronie. Królewicz połamał etazerkę, z której posypały się książki, rozbił się jakiś wazonik. Probowano go uspokoić, ale już był niepojętym.

Jego idea fiksu w takim stadium upojenia alkoholowego była chęć biec natychmiast nocą nie wiadomo dokąd, do Zinki, i obić jej mordę.

„Zinka” była jego pierwszą miłością, była żoną, która urodziła mu dwoje dzieci, a później odeszła do znakomitego reżysera.

Królewicz nigdy nie mógł się z tym pogodzić, chociaż minęło już sporo czasu. Sądzę, że była to ta serdeczna, nie gojąca się rana, która, jak już mówiłem według swego głębokiego przekonania, leżała u twórczych podstaw każdego talentu.

U Komandora także:

„Mówili do mnie: Jack London, pieniądze, miłość, sława, namietność. A ja wiedziałem, żeś Dioconda, którą należy ukraść. I ukradli”.

Z trudem wyprowadziliśmy królewicza ze zniszczonego mieszkania na ciemny Sretieński bulwar z na wpół obciętymi drzewami, namawiając, żeby się uspokoił, lecz on awanturował się nadal.

Usiłował krzyknąć ochryplym głosem:

— I ten wyrutek... ta nędza... żalony aktorzyzna... parszywy Paplow... papla! Wpełz jak zmija do mojej rodziny... pozował na nędznego geniusza... Poilem go, karmilem podłecza... Jak pies spał u nas pod stołem... jak ostatni parszywy pies... I wprowadził ode mnie Zinkę... Po cichu, jak złodziej... i zabrał moje dzieci... Nie!... Do diabła!... Idźmy wszyscy natychmiast bić jej mordę!

Nie zwracając uwagi na namowy wyrwał się nagle z naszych rąk, rzucił precz i zniknął w jesiennym mroku, aby „bić mordę Zince”.

Zostaliśmy we trójkę... Zrozumieliśmy, że nie już królewicza nie uratuje: zginie od białej gorączki lub, pewnego razu, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, powiesi się, o czym często mówił po pijanemu.

Cóż mogliśmy zrobić? To było przeznaczenie. Przekleństwo. Królewicz, był ulubiecem rządu. Leczone go. Robiono co tylko było możliwe. Wysyłano niejednokrotnie do sanatorium. Chroniono, jak skarb narodowy. Lecz on zewsząd się wyrwał.

— A Komandor to co innego. Komandor nigdy... — powiedział współbojownik. — Komandor ma zupełnie inny charakter. To prawdziwy człowiek, budowniczy nowego świata... rewolucjonista...<sup>7</sup>

Zgodziliśmy się: Komandor nigdy nie...  
Ale dlaczego współbojownik, bliższy przyjaciel Komandora, komfut, nagle ni z tego ni z owego jakimś tajemniczym sposobem przeciwstawił los tych dwóch, jakże różnych, geniuszy?

Sądzę, że już wówczas podświadomie przewidywał koniec Komandora, jego samozagładę. Przecież Komandor wiele razy mówił o tym w swoich wierszach, ale nie wiadomo dlaczego nikt nie przywiązywał do tego wagi.

Przeczytawszy gdzieś plotkę, że autor „Trzech muskietierów” nie sam pisał swe liczne powieści, a najmował kilku utalentowanych literatów — wyrobników, urzędywistniających jego pomysły na papierze, postanowiliśmy pewnego razu zamienić się w Dumasa-ojca i przewodzić gromadką najemnych pisarzy. Tym bardziej, że w tym czasie moja wyobraźnia aż kipiała i rzeczywiście nie wiedziałem, co robić z tematami, które co minuta przychodziły mi do głowy. Wśród nich pojawił się pomysł o brylantach, schowanych w czasie rewolucji w jedno z dwunastu krzesel kompletu stołowego.

Poszukiwanie brylantów, schowanych w jedno z dwunastu krzesel, rozrzuconych po kraju przez rewolucję, pozwalało, według moich wyobrażeń, namalować w sposób satyryczny galerię typów, współczesnych nep-owi.

Wszystko to przedstawiłem memu przyjacielowi i mojemu bratu, których, wzorując się na Dumasi-ojcu, postanowiliśmy przekształcić w swych literackich murzynów: daję im temat, bodziec, oni temat opracowują nadając ciału i krew satyrycznej powieści. Muskam ich pisaninę ręką maestra. I otrzymujemy zabawną filuterną powieść, podpisaną, w odróżnieniu od Dumasa-ojca, naszymi trzema nazwiskami. Honorarium dzielimy równo.

Dlaczego właśnie ich wybrałem swoimi murzynami — mego przyjaciela i mego brata? Trudno na to odpowiedzieć. Z pewnością odegrała tu niepoślednią rolę moja intuicja, psi węch na talenty, nie objawione nawet jeszcze w pełni sił.

Wyobraziłem sobie ich obu — tak jaskrawie różnych — i zrozumieliem, że stworzeni są po to, aby się wzajemnie uzupełniać. Moja fantazja narysowała pewien typ geniusza, potrzebnego do spełnienia roli mego murzyna.

Do tego dnia obaj mało się znali. Wyrastali w różnych literackich sferach. Zaproponowaliśmy, by się zjednoczyli. Nie bez zaniepokojenia obejrzał jeden drugiego od stóp do głów. Miedzy nimi przeleciała, jak to się mówi w starych powieściach elektryczna iskra. Uśmiechnęli się do siebie uprzejmie i zgodził na moją propozycję.

Kto wie, może skusiła ich perspektywa grubego zarobku; czegoż, do diabła nie pożartować! Nie wiem. Lecz zgodzili się. Ja natomiast pojechałem na Zielony Przylądek pod Batumi, pisać

wodewil dla Teatru Artystycznego, zostawiając swym poddanym dość szczegółowy plan przyszłej powieści.

Kilkakrotnie przysyłałi rozpaczywe telegramy, prosząc o uwagę w różnych sytuacjach, wynikających z biegiem tworzenia powieści.

Początkowo odpowiadałem krótko: „Myście sami”.

Później przestałem w ogóle odpisywać, pogrążony w rajskim podzwrotnikowym życiu, wśród bambusów, bananów, mandarynek, wiszących na drzewach niczym maleficzne zielono-żółte lampki, dzieląc czas między kąpiele, dolce fare niente i pisanie „Kwadratury kola”.

Brat i przyjaciel obrażili się za moje milczenie i przestali mnie niepokoić błagalnymi telegramami o pomoc.

Zaledwie pojawiłem się w chłodnej, deszczowej Moskwie, przyszedł do mnie mój współautorzy. Z godnością, nieco oficjalnie, zawiadomili mnie, że napisali już ponad sześć arkuszy drukarskich.

Jeden wyjął z tekturowej teczki schłodny, rękopis, a drugi zaczął głośno go odczytywać.

Już w ciągu dziesięciu minut zrozumiałem, że mój niewolnicy wykorzystali wszystkie jasno podane środki tematyczne i doskonale przedstawili podpowiedziany im przeze mnie portret Woblanowa, a oprócz tego wprowadzili zupełnie nową, przez nich wynalezioną postać — Ostapa Bendera, imię którego obecnie stało się tak nominalnym, jak na przykład, Nozdriowa. Teraz właśnie Ostap Bender, jak go nazwali — wielki kombinator, został centralną postacią powieści, jej najsilniejszą sprężyną.

Byłem ogromnie zadowolony i odezwałem się do nich mniej więcej tak:

— No cóż, bracia. Od tej chwili wy obaj jesteście autorami przyszłej powieści. Usuwać się. Wasz Ostap Bender zwyciężył mnie.

— Wybaczcie, Dumasi-ojczy, ale my bardzo liczyliśmy na to, że swą ręką maestra muśnięcie naszą założoną prozę — powiedział mój przyjaciel, z tym charakterystycznym wyrazem na swej dziwnie zapadniętej twarzy, kiedy to trudno było zrozumieć, czy mówi poważnie, czy kpi.

— Już dłużej nie uważam się za waszego mistrza. Uczniowie pobili nauczyciela, jak Rosjanie Szwedów pod Poltawą. Kończę powieść sami i niech was Bóg błogosławi. Jutro idę do wydawnictwa i przepiszę umowę z nas trzech na was dwoje.

Współautorzy popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Zrozumiałem, że właśnie tego ode mnie oczekiwali.

— Jednakże nie cieszcie się za bardzo — powiedziałem — jakby nie było temat i plan są moje, a wy musicie za nie zapłacić. Nie zamierzam dawać darmo plodów swych wysiłków i rozmyślań...

— Podczas długich samotnych nocy — zgodnie uzupełnił mój przyjaciel i obaj współautorzy uśmiechnęli się jednakowym uśmiechem, z czego wywnioskowałem, że w czasie wspólnej pracy na tyle się zbliżyli, że stali się jak gdyby jednym człowiekiem, a raczej jednym pisarzem.

A więc mój wybór okazał się całkowicie słuszny.

— Czego pan od nas żąda? — zapytał mój przyjaciel.

— Żądam od was następująco: punkt „a” — z obowiązującą się powieścią mi powieść i wyżej wymienioną dedykację obowiązkowo należy drukować we wszystkich nakładach zarówno w rosyjskim, jak i w innych językach, obojętnie ile by ich nie było.

— Ależ bardzo proste! — z ulgą wykrzyknęli współautorzy. — Tym bardziej że my w zupełności nie jesteśmy pewni, czy będzie tylko jedno wydanie — po rosyjsku.

— Młodzi ludzie — powiedziałem surowo, naśladowując dydaktyczną manierę nibbieskookiego — niepotrzebnie tak lekko zgodziliście się na moje pierwsze żądania. Czy zdajecie sobie sprawę, że przed waszą, na razie jeszcze nie skończoną powieścią, jest nie tylko długie życie, ale także i światowa sława?

Współautorzy skromnie spuścili oczy jednakże mi nie uwierzyli. Nie podejrzewali jeszcze wówczas, że posiadam proroczą moc.

— No dobrze, założony — powiedział przyjaciel — że z punktem „a” skończyliśmy. A punkt „b”?

— Punkt „b” nie będzie taki tani. Po otrzymaniu pierwszego honorarium za książkę jesteście zobowiązani kupić i przynieść mi złotą papierosnicę.

Współautorzy drgnęli.

— Musimy się porozumieć — powiedział rozsądny przyjaciel. Odeszli do okna, wychodzącego na dorożkarskie podwórze i szepotali przez jakiś czas, następnie wrócili do mnie, i zbladziły nieco, powiedzieli:

— Zgadamy się.

— Uważajcie, bracia, nie oszukajcie. — powiedział przyjaciel głosem wezwanego na pojedynek: dla niego wszelkie sprawy związane z honorem zawsze i wszędzie stały na pierwszym miejscu.

Przysięgłem, że nie wątpię. I na tym zakończyła się nasza rozmowa.

Długo czy krótko, lecz w końcu przebrnąwszy przez różne komplikacje z cenzurą, powieść ukazała się drukiem najpierw w dzienniku, a później samodzielnie książką, i na stronie tytułowej nie bez próżności przeczytałem wydrukowaną dla mnie dedykację.

Punkt „a” był święcie wypełniony.

— A co dotyczy punktu „b”, to z jego realizacją musiałem trochę poczekać. Oczywiście nie dawałem to sobie poznać, że czekam. Milczałem. Milczeli i współautorzy. Ale oto jednego pięknego dnia moje oczekiwanie zostało nagrodzone. Zadzwoił telefon i usłyszałem głos jednego ze współautorów:

— Stary Sobakiewicz, musimy koniecznie się z panem zobaczyć. Kiedy może pan nas przyjąć?

— Ależ różnicie choćby zaraz! — wykrzyknąłem, pragnąc trochę rozładować oficjalny ton, zmięczony zresztą zwrotem „stary Sobakiewicz”. („Stary Sobakiewicz” był jednym z moich pseudonimów w gazetach humorystycznych).

Współautorzy pojawili się dobrze ubrani, zdyscyplinowani, surowi.

— Pragniemy przed panem wypełnić nasze zobowiązanie odnośnie punktu „b”.

Wręcz z tymi słowami jeden ze współautorów wyciągnął do mnie nieduży, ale ciężki pakietek przewiązany różową wstążeczką. Rozwinąłem bibułkę i przed oczyma błysnęło mi złoto. Była to nieduża papierosnica z turkusowym guzikiem w zamku, ale nie męska, a damska, dwukrotnie mniejsza.

Te sknery poskapyły na męską.

— Nie uzgadniałmy, jaka miała być papierosnica — damska czy męska — zwrócił uwagę mój przyjaciel, żeby od razu stłumił wszelką słowną szermierkę.

Natomiast mój brat na prawach bliskiego krewniaka nie bez humoru zacytował z czechowskiej „Księgi żalobnej”:

— „Lap, co dają”.

Na tym zakończyły się nasze stosunki praktyczne i udaliśmy się obmyć damską papierosnicę w „Metropolu”.

<sup>1-3</sup> Przełożył Władysław Broniewski.  
<sup>4</sup> Przełożył Seweryn Pollak.  
<sup>5-7</sup> Przełożył Władysław Broniewski.

cdn.  
Tłumaczyła: EWA T. GADZINOWSKA

**zdarzenia  
i zwierzenia**

**LAPSUSY, POMYŁKI I BŁĘDY...**

Lapsusy pomyłki i błędy w druku Jakóbki to wdzięczny temat dla felietonu, polemiki, ba nawet dla rozprawy naukowej. Jest to motyw, którym karmią się wszystkie „prześmiewcze” rubryki — same zresztą nie mogąc nieraz ustrzec się błędów. Jednym słowem — pikantne ziarenko pleprzu w postnej zawleającej gazetowych dyrdymałków.

Takie lapsusy zdarzają się wszędzie. Na przykład białe do reki pismo dla starszych dzieci „Piomyk”. Jest tam krzyżówka, w której znajduje się hasło: „Rzeka, nad którą leży stolica Francji”. Paryż, wiadomo, leży nad Sekwaną, ale z krzyżówki wynika, że chodzi o... Loare. Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Loara?

W „Głosie Robotniczym” czytamy o „znanym malarzu radzieckim” Ilii Glamunowie. To błędnie wydrukowane nazwisko powtarza się dwa razy. A to przecież chodzi o naprawdę znanego na całym świecie malarza Ilię Glazunowa. W tym samym numerze „GR” — w innym artykule — kilkakrotnie powtarza się nazwa stalagmu Allengraben. Otóż stalagm Allengrabow jest również znany, jak Glazunow, tyle, że

pod swoją prawdziwą nazwą. Byli w tym stalagu i pisali o nim m.in. Galczyński i Piechał. A teraz z innej beczki. W przypisach do pewnej antologii poetyckiej znajduje się informacja, że **Bulat Okudźawa** napisał „książkę dla dzieci „Bażńców szubaku”. Warto wiedzieć, że książka ta znana jest w Polsce pod tytułem „**Jeszcze pożyjesz**” (niekiedy monodram na jej podstawie zrobił niedawny **Franek Trzeciak**) — i, niestety, nie jest to literatura dziecięca, choć bohaterem książki jest chłopiec wpłany w tryby II wojny światowej. „**Budz zdarów, szkolar**” Okudźawy, to jeden z najbardziej wstrząsających zapisów literackich Wielkiej Wojny, dorównujący „**Notakom z frontu**” Effendi Kapijewa.

Nie ustrzegł się lapsusu i niżej podany. Tłumaczyciel go można różnie. Pewien doktor z UL powie zapewne, że to skutek niedouczenia, ktoś czytałwi zwali winę na skoki ciśnienia i kapryśne lato, ktoś jeszcze inny na — właściwa Widokowi — nonszalancja i pospiech...

A jak było naprawdę? Pewno wszystkich go trochę.

W niedziele wieczorem red. **Edmund Tulko** z „Głosu Robotniczego” — popularny w Łodzi publicysta — zadzwonił do mnie i mówił: „Stary popełnił błąd! Słowo „czcionka” nie

jest ani tajemnicze, ani nieznanie... Zajrzyj do „Słownika etymologicznego języka polskiego”.

Zgadza się. Wziąłem starego Brücknera i tam na stronie 83 pouczono mnie, że słowo „czcionka” (pisałem o nim dwa tygodnie temu) pochodzi od... „cziesz”, „czie”, co znaczyło „czytasz”, „czytacie”. A zatem „czcionka” to bardzo szacowny, stary wyraz. Czytać znaczyło liczyć, czytanie nazywano bowiem od sylabizowania, tj. od liczenia, skupiania liter...

No i stąd się wzięła czcionka. Ot, i cała tajemnica. Pisze o tym z szacunku dla Czytelnika, także tego, któremu red. **Edmund Tulko** nie był w stanie, z przyczyn technicznych, moje go błędu wyjaśnić. Jednocześnie dziekiu mojemu koleźce za wnikliwą lekturę tych kartek.

Zeby zaś wynagrodzić Czytelnikom szkody moralne spowodowane moim lapsusem, o powiem o tym, jakie naprawdę zamieszanie może spowodować pomyłka w słowie drukowanym.

Otóż, kiedy w roku 1852 książkę **Karol Ludwik Napoleon** doszedł do wniosku, że nadzedł czas, aby z prezydenta Francji stać się cesarzem, w „Dzienniku Urzędowym” została ogłoszona odpowiednia proklamacja. Zakończono ją słowa-

mi: „Niech żyje cesarz **Napoleon II**”. Zecer się jednak pomylił i biorąc wykrzyknik za trzecią kreskę (cyfry były oczywiście rzymskie), złożył „**Napoleon III**”.

Proklamacja się ukazała, naród się trochę dziwił skąd nagle po **Napoleonie I** (**Bonaparte**) jest akurat **Trzeci**, ale jak tak jest, niech i będzie. Cesarza to jednak ruszyło — co robić? Errata? Głupia sprawa, przy takich proklamacjach.

Wreszcie wymyślono. Postanowiono, że **Oriatko** — syn **Napoleona I** — w dwadzieścia lat po swojej śmierci (umarł bowiem w 1832 roku), w trzy dni po ogłoszeniu się cesarzem przez synowca **Napoleona I**, **Karola Ludwika Napoleona Bonaparte**, otrzymał tytuł **Napoleona II**, który — jakoby — mu przysługiwał z powodu abdykacji ojca w roku 1815.

W innym czasie i w innym miejscu inny drukowany komunikat wymienił błędnie nazwę jakiejś miejscowości. Aby nie narażać powagi komunikatu nazwę miejscowości zmieniono zgodnie z... błędnym brzmieniem oficjalnej enuncjacji.

Takie zamieszanie i konsekwencje potrafi sprawić zwykły błąd, lapsus drukowanego słowa czy lapsus autora.

**WIDOK**

**GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH**

**JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI**



„Zdaje się, że Franek wyszedł” —  
Chociaż nie przyszedł.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

**CUKIER KRZEPI**

Refleksje te nachodzą mnie każdego roku w maju, kiedy na ścianach domów, oknach sklepów będących w remoncie oraz na specjalnie ulepionych tekturowych szkrzyniach zawalających trawniki ukazują się plakaty z napisem: „**Wiosna artystyczna**”. Ma to wszelkie zewnętrzne cechy reklamy. Jako człowiek „z branży” wiem, o co chodzi. A co by było, gdybym był mieszkańcem na przykład Osozkowa, lasym na pozytywkę kulturalną? — Po przeczytaniu plakatu pomyślałbym chwilę i poszedł po swoją serwołatkę. Według encyklopedii: „**Reklama** ma to czynności i środki zmierzające do zwrócenia zainteresowania uwagi na dany towar, na danego producenta, na placówkę handlową, w celu zachęcenia do zakupu”. Do czego zachęca napis: „**Wiosna artystyczna**”? — Do niczego. Podobnie, w czasie Mundialu 78 na ekranach telewizyjnych pokazywały się co jakiś czas jakieś cztery litery, a później odpowiadająca im nazwa jakiegoś zarządu czy dyrekcji (bodaj Centralny Zarząd Spółdzielczości Pracy). No i co z tego? Co wynika z faktu, że piętnaście milionów ludzi przeczytało nazwę tego lub innego zarządu? Nie trzeba być „z branży”, by wiedzieć, że były pieniądze na reklamę, więc z konta zarządu przelano na konto telewizji jakąś tam niemalą sumę, przy okazji zarobił plastyk lub jeszcze ktoś. Na Dolach zieleni się ogromny neonowy napis „**Lokator**”. Za ileś tam milionów stwierdzenie faktu, że tu się grupują budynki tej spółdzielni. Nie jest to przecież reklama, bo wiadomo, że w wiadomej sytuacji nikt nikogo nie zachęca do zapisywania się na listę czekających na mieszkanie. Niedaleko stamtąd dwa wielkie napisy reklamują urząd pocztowy Łódź 25. Infrastruktura Dolów była kiedyś obciążona na pewną lezbę mieszkańców. Liczba ta uległa podwojeniu, a czuje się też inwazyjnie interesantów i klientów z terenów podmiejskich, spoza osiedla. W związku z tym jedyna kasa w urzędzie Łódź 25 jest od rana do wieczora obłożona. Przydałby się napis: „**Spiesz się!**” — skorzystaj z usług innej poczty”. Neon nabomast wabi — chodźcie, zrobimy dłuższy rzadek”. Uczeń w piśmie twierdzi, że taki rodzinny Piccadilly Square przydał miastu uroku. Jeżeli tak, to jestem za neonowymi kwiatkami. Albo, żeby było więcej takich sportowców neonowych, jak nad sklepem przy Piotrkowskiej, którzy podnoszą ciężary.

Kto pogapił się na komercyjną telewizję zachodnioeuropejską, ten wie, że reklamy odsuwające w czasie kolejny strzał lub zbliżanie nosem bywają zabawne lub irytujące nudne. Jedną z metod działania reklamy polega na takim wytrzeszeniu wyobraźni potencjalnego klienta, by ten w określonej sytuacji znalazł rozwiązanie trudności w reklamowym sloganie. Toteż, kiedy Wilma zdradza męża, dowiadujemy się, że każdy kto marzy o konserwowanej potrawie Kit-a-Kat, kiedy morduje kochankę, na ekranie pojawia się zadowolona morda kota i wiadomość, że każdy kto marzy o konserwowanej potrawie Kit-a-Kat. Kiedy... i tak dalej. Slogan dowcipny nie znaczy, że musi do pobłażliwości. Przykład sloganu bardzo popularnego, (którego autorem był podobno Melchior Wańkiewicz) znała Polska międzywojenną. „**Cukier krzepi**”. Dowcipny, a znany ze wstrząsliwej narób,

zaskoczony jego zwięzłością, pośpieszył z dorobieniem rymu: „**a wódka jeszcze lepiej**”. Wiarygodnie brzmi historia, że rozbrzykną dzieciak w przedziale kolejowym, zapytany, jaka stacja, spogląda szybko na budynek stacyjny i odpowiada: „**Cukier krzepi**”. A więc majsterzki reklamy. Z tamtej epoki, z tysięcy ówczesnych reklam zachowało się w ludzkiej pamięci kilka. Podsunęli babci słowo „**cukier**”, sama dopowiedziała: „**krzepi**”, powiedziała: „**radion**” na pewno uzupełniła: „**sam pierze**” i może jeszcze jakiś jeden lub dwa.

Gdyby się przyjrzeć sloganom reklamowym będącym obecnie w obgu, to chyba jeden wniknął w świadomość społeczną mocniej niż inne: „**Przezorny zawsze ubezpieczony**”. Gdyby nie ta przedpogrzebowa powaga każdego słowa! „**Przezorność**” — pojęcie ubrane w czarny płaszcz i melonik. Jeden Galczyński nadmuchał je humorem (ale makabrycznym), wykipując zabieg prof. Bączyskiego przed wyjściem do „**Zaw sze**” — słowo nieodgadzone od przysiąg. Przysiąg zwykle nie dotrzymywanych, ale dalekie od śmiechu. Dwa palce ku niebu, dłoń na sercu, krzyż lub inny symbol pomagający celebrować. „**Ubezpieczony**” — to ten obłąk krwaw w powieści kryminalnej, dokoła chciwy, czyhający na polise. Kiedyś w rozgłosie radiowej zobaczyłem spikera opuszczającego studio. Zachwiał się i zakrył twarz rękami. Na moje pytanie o powód powiedział: „**Od trzech lat dwa razy w tygodniu nagrywam program reklamowy i od trzech lat kilka razy w tygodniu powtarzam: „przezorny zawsze ubezpieczony”. Już nie mogę...**”

A jednak reklama handlowa pochłania w naszej gospodarce miliony złotych. Widać ją w kinie przed programem. Ale w pamięci zostaje tylko reklama... kinowej reklamy. Reszta uchodzi uwadze. Podobnie nieskuteczne są ilustrowane zachęty pokazywane w telewizji, mieszane z muzyką w radiu. Niektóre akcje reklamowe wręcz wywołują społeczny sprzeciw i społeczna kłopot. Przykładem może być ów dowcip o tym, co powiedziała rdza na temat „**poloneza**”. A jednocześnie reklama znakomicie reklamuje siebie samą. Wszak znamy slogan „**reklama to potęga**”. Jest to potęga tak wielka, że na przykład niektóre osoby do dziś poszukują „**mieszanki wędłowskiej**”, chociaż ta namiastka, którą czasami można dostać, nie ma nic wspólnego z tradycyjną nazwą. Zresztą reprezentacyjną sklep „**Wedla**” ze względu na oferowany towar (handywniki i herbatniki „**Babetki**”) nie czyni się dziś nie różnia od kiosków spożywczych GS-u.

Tu jednak kończy się pesymistyczna część felietonu. Oto znikają kłpa i sarkazm, a z całą powagą formułuję pytanie: jeśli chcesz kupić dobrą koszulkę, po jaką sięgasz? — Odpowiedź: to „**Wólczanki**”. Nie pamiętam, by gdziekolwiek w Łodzi lub poza nią blaskowały neony reklamujące te wytwórnie. A każdy ją zna. Jeżeli plaszc, to od „**Próchnika**”. Magnetofon — na licencji „**Grundig**”. Można by znaleźć i wymienić jeszcze parę znanych i uznanych firm krajowych. **One sobie wyrobiły markę**. I to jest chyba model reklamy nam odpowiadającej. A że zbędne miliony z paragrafu: „**reklama**” lepiej oddać na Centrum Zdrowia Dziecka.

**JERZY URBANKIEWICZ**

**NIE POMOŻE TREUGUTT...**

Nie daje mi spokoju fakt malejącego w oczach prestiżu teatru telewizyjnego i słabnącego zainteresowania nim widzów. Zjawisko to zastanawiające jest z wielu przyczyn. Przede wszystkim 20 letnia tradycja tej sceny powinna służyć nagromadzeniu bogatych doświadczeń w zakresie programowania i badań percepcji telewizyjnych widzów teatralnych. Mogłoby to prowadzić w efekcie do zarysowania się w repertuarze teatru TV określonych tendencji, może przez zindywidualizowanie się poszczególne ośrodki terenowych, do konsekwentniejszego doboru materiału dramatycznego oraz do nierzerwanego poszukiwań formalnych.

W praktyce nic z tych rzeczy. Dobór sztuk raczej przypadkowy, coraz mniej tekstów pisanych specjalnie dla telewizji, a śmielsze próby sprawdzenia środków wyrazowych niezmienne rzadkie. Stroniamy od uczestnictwa w kształtowaniu oblicza teatru TV nie tylko wybitni reżyserzy filmowi, ale i czołowi reżyserzy teatralni, jak Dejmek, Jarocki, Grzegorzewski i tacy inni. Oddalili się od tego teatru jego ongiś pierwszy szermierz — Hanuszkiewicz, Antczak, Grza.

Względa na to, że kierownictwo artystyczne telewizji podzieliło się z faktem, że wido-

wiska teatralne coraz mniej waga w programie. Sukcesów oczekuje się raczej od seriali i pojedynczych filmów telewizyjnych. Teatr TV egzystuje jakby siłą rozrodu czy przyzwyczajenia, ale bez wewnętrznej przekonania o swojej użyteczności. Może to naturalny proces obumierania przeżytej formy? A może tylko chwilowe obrócenie lotów, przemijający im-pas, który trzeba tylko chcieć przezwyciężyć?

Obawiam się, że na te pytania nikt nie stara się sobie odpowiedzieć. Czynniki odpowiedzialne za ten wycinek programu wydają się ograniczać do oceny poszczególnych pozycji z tygodnia na tydzień, gubiąc przy tym szerszą perspektywę i nie kusząc się o spojrzenie syntetyzujące. A przecież teatr TV ma w naszych warunkach do spełnienia ważną funkcję kulturową, propagując literaturę dramatyczną i sztukę aktorską. Ma on wielką przewagę nad każdą formą teatru objazdowego, gdyż może korzystać z łączy docierając jednocześnie do wszystkich zakątków kraju, dostarczając najlepszą widowską w wykonaniu najlepszych aktorów. W tym znaczeniu odgrywa on rolę niewyłącznie nierówności w dostępie do kultury przez poszczególne regiony.

A jak wygląda praktyka? Czy

do rzędu takich spektakli zaliczyć można na przykład ostatnio komedie Kazimierza Zalewskiego „**Przed ślubem**”? Sądzę, że nawet sezon ogórkowy nie usprawiedliwia zaniedbania kryteriów, z jakim mieliśmy w tym przypadku do czynienia.

Komedie okresu tzw. pozytywizmu warszawskiego, którego Zalewski był jednym z czołowych przedstawicieli, miała z reguły charakter moralizatorski. Wystawiona po raz pierwszy w 1875 roku sztuka „**Przed ślubem**” przyniosła autorowi dość dużą popularność. Jako dokumencie czasów, w których tworzył Zalewski, posiada ona niewątpliwie zalety, choć nadmierne dydaktyzm, w dodatku poważnie zdezaktualizowany, miejscami bardzo nas dziś razi.

Mimo wszystko w tekście Zalewskiego zakodowane są walory, które odpowiednio eksploatowane mogłyby zapewnić widzowi telewizyjnemu charakter przedniej zabawy. Reżyser przedstawienia Lech Wojciechowski poszedł jednak w przeciwnym kierunku: wypunktowywał to co zamierzało, gubiąc po drodze perełki humoru dobrej próby.

Określając na przykład kwestie Baltazara Uszyńskiego do minimum informacji niezbędnych dla posuwania do przodu fabuły, Wojciechowski pozbawił te świetnie zarysowaną przez Zalewskiego postaci całej rodzącej się i prześmiesznej biografii. Nie pozwolił tym samym tak dobremu aktorowi jak Grzasty Lukiwicz dobrać się do tych pokładów humoru.

Zie obsadzenie kapitalnej roli Kłapkiewicza, mało dowcipna interpretacja epizodycznej, lecz przeźabawnej postaci rzeźbiarza Muszkata przez Tadeusza Borowskiego, to dalsze stracone okazje w tym widowisku. W tradycyjnym ujęciu całości nieporozumieniem było uwspółcześnienie postaci Helenki przez Justynę Kulczycką. Na dobrą sprawę nie zawiedli tylko Malgorzata Lorentowicz i Jerzy Kamas, nie byli jednak w stanie uratować spektaklu.

„**Przed ślubem**” to przykład spektaklu „**puszczonego**”, zrobionego byle jak bo to przecieć lato, a latem nie trzeba się wysilać. Na straconej pozycji stał Stefan Treugutt, który bez przekonania zachęcał w swoim słowie wstępnym widzów do akceptacji widowiska. Markując z ożywieniem rzekomo swoje zaangażowanie w te sprawy, nienotrzebnie firmował swoim autorytetem rzecz chybioną.

A na marginesie nasuwa mi się wątpliwość, czy rzeczywiście każdy spektakl teatru TV powinien być poprzedzany prelekcją? Czy w przypadku sztuki Zalewskiego cokolwiek wymagało wyjaśnienia, ucejonej interpretacji? Coraz częściej słowo wprowadzające do przedstawień telewizyjnych ma charakter: szkółki, albo bezradnej obrony, która robi zła przysługę teatrowi TV.

**WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

**E. LIBRIS ODGŁOSÓW**

AAAAAAA  
BBBBCCC  
DDDDDD  
EEEEEEE  
FFFFFFF  
GGGGGG  
HHHHHH  
IIIIIII  
JJJJJJ  
KKKKKK  
LLLLLLL  
MMMMMM  
NNNNNN  
OOOOOO  
PPPPPPP  
QQQQQQ  
RRRRRR  
SSSSSS  
TTTTTT  
UUUUUU  
VVVVVV  
WWWWWW  
XXXXXXXX  
YYYYYYY  
ZZZZZZZ

**PRUTKOWSKI**

„**Światnik**” Józefa Prutkowskiego dobrze jest czytać razem z wspomnieniami z Pierwszej Armii — „**Jak to na wojnę...**” Zwłaszcza, że we wspomnieniach Prutkowskiego wiele jest odniesień do osoby ich autora p. Józefa G. Oczywiście w „**Światniku**” (coż za znakomity Kalamit, w których zresztą Prutkowski celuje) znajdziemy także felietony

sportowe, sztukę satyryczno-refleksyjną, ale głównie wator tej książeczki to właśnie wspomnienia z Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Dodajmy, że są to wspomnienia napisane ponad dwadzieścia lat temu.

Marzy mi się inna refleksja pamiątkarska Józefa Prutkowskiego. Myślę sobie, że bardzo pouczający byłby pierwszy i drugi tom, w której poczesne miejsce zajmują powieści historyczne i biograficzne — opowieści o słynnym mimie francuskim Debureau, czy o czeskim malarzu Manesie i poecie portugalskim, Camoensie. Pisze też dla młodzieży, głównie książki o tematyce sportowej. Jest też tłumaczem po-

Józef Prutkowski „**Światnik**”, Wyd. Czytelnik, cena zł 21

**MIASTO SZCZĘŚLIWYCH MIŁOŚCI**

Frantisek Kozik (ur. 1909), z zawodu prawnik, jest pisarzem wszechstronnym. Ma w dorobku scenariusze filmowe, libretta do oper i operetek, słuchowiska radiowe, wiersze i prozę, w której poczesne miejsce zajmują powieści historyczne i biograficzne — opowieści o słynnym mimie francuskim Debureau, czy o czeskim malarzu Manesie i poecie portugalskim, Camoensie. Pisze też dla młodzieży, głównie książki o tematyce sportowej. Jest też tłumaczem po-

Frantisek Kozik „**Miasto szczęśliwych miłości**”, PIW cena zł 30.

**DZIELNI**

Tadeusz Kur znany jest czytelnikom prasy jako interesujący i pełen pasji publicysta. Ostatnio jednak dał się również poznać jako historyk interesujący się najnowszymi dziejami Polski.

Książka „**Dziwieniu dzielnych z Siemianowie**” przedstawia antyhitlerowska działalność grupy młodych Ślązaków walczących o zachowanie zagrożonej niepodległości. Na trop tej harcerskiej grupy występującej pod nazwą „**ZHP** w konspiracji — Orzeł Biały” naprowadziła autora neohitlerowska książka byłego oficera Waffen-SS, Helmuta Cramera z RFN, który ujawnił fotokopię wyroku śmierci na polskich partyzantów.

Te wstrząsające dokumenty posłużyły Tadeuszowi Kurowi do pokazania ruchu oporu na Śląsku. „**Dziwieniu dzielnych z Siemianowie**” to również demaskowanie zabiegów rewizjonistycznych kół z RFN o rehabilitację Waffen-SS.

Tadeusz Kur „**Dziwieniu dzielnych z Siemianowie**”, Wyd. MON, cena zł 30.

**WARTO PRZECZYTAĆ**

K. KOWALSKI — „**Serca nasze oble 1777**”, WL, cena zł 40.  
Z. LENGREN — „**Gaigankowy skarb**”, Wyd. Lubelskie, cena zł 6,30.